POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 22-go listopada 1941r.** **Rok III. Nr. 47**

MYŚL FEDERACYJNA

Dyskusja w sprawie postawienia na nogi i urządzenia Europy powojennej nie ustaje. Rynek książkowy angielski tak niezmiernie chłonny notuje co raz to nowe prace. Autorzy rozmaitego talentu i poglądów starają się przeniknąć zasłonę przyszłości i odpowiedzieć na pytanie, jaki też będzie kształt Europy powojennej.

Rozważania tego rodzaju spotykają się ze wzruszeniem ramion wśród sceptyków, którzy są przekonani, że na takie wywody i nauki jest jeszcze grubo za wcześnie. Powiadają oni, że nikt uczciwy nie może powiedzieć dzisiaj z ręką na sercu jak właściwie będzie wyglądać Europa, która wyjdzie z wirów wojny. Kto wie, jakie siły będą władały Europą, jakie niespodzianki zgotuje nam jeszcze kontynent, jakie skutki będzie miało zawalenie się potęgi niemieckiej? A poza tym: czyż wiemy, jakie nastawienie żywić będą państwa zwycięskie—W. Brytania i Stany Zjednoczone, czego będą chciały w momencie zwycięstwa, jakie będą ich ówczesne plany? Jednym słowem, sceptycy są zdania, że z tą całą robotą należy poczekać, albowiem urządzenie powojennej Europy to równanie ze zbyt wielu niewiadomymi.

A jednak sceptycy nie mają racji. Przede wszystkim dlatego, że poniechanie wszelkiej dyskusji na ten temat byłoby równoznaczne z przyznaniem się do bezmyślności, braku wyobraźni i poglądu, do niechęci podejmowania uczciwego trudu myślowego. Byłoby to stwierdzenie, że w tej Europie, która może swobodnie myśleć,—albowiem posiada do tego warunki—nie ma ochoty do podjęcia tej pracy, którą potajemnie, pocichu przeprowadza mózg ludzki w ciemnościach niemieckiej okupacji.

Lars Moen, amerykański uczony, który spędził szereg miesięcy pod Niemcami w. okupowanej Belgii, dał w swojej ciekawej książce "*Under the Iron Heel*" interesujący wycinek myśli i pragnień, jakie ożywiają ludność podbitej Belgii; uwagi, jakie zamieszcza autor amerykański godne są poznania—świadczą one bowiem, że myśl ludzka nie została sparaliżowana straszliwymi warunkami bytu i niepewnością już nie jutra, ale wprost życia i śmierci. Lars Moen podkreśla, że w licznych rozmowach, jakie toczył w Belgii oraz we Francji powracał ustawicznie motyw, iż trzeba jednak będzie po wojnie inaczej zagospodarować Europę, że państwa będą musiały przyjąć jakieś inne formy, jeżeli chodzi o ich suwerenność i że współpraca między narodami musi być postawiona na szczerej a szerokiej podstawie.

Uwagi Moena są cenne, podobnie jak cenne są inne raporty—tajne i przemycane—z innych krajów: raporty, które stanowią obraz myślenia uciśnionych ludzi. Pojawia się tam wszędzie niemal uporczywie myśl, że z wojny tej musi się zrodzić jakaś nowa forma międzynarodowej współpracy.

Myślenie i mówienie o federacji nie jest zatem napewno trudem straconym. Nie tylko bowiem dowodzi to, że myśl ludzka pracuje nad rozwikłaniem narastających trudności—nie znikną one bynajmniej po wojnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeciwnie, może jeszcze się pomnożą—ale, że postępuje naprzód dzieło przygotowania mas ludzkich do tej wielkiej idei.

Przygotowanie jest koniecznością. Nie można w ogóle marzyć o wprowadzeniu jakiejkolwiej szczerej współpracy międzynarodowej po wojnie, bez odpowiedniego przygotowania mas, bez przekonania ludzi, że tego rodzaju współpraca jest koniecznością, jest sprawą najważniejszą: ich bytu i bezpieczeństwa. Trzeba już dzisiaj badać teren, trzeba już dzisiaj pozyskiwać dla idei federacji najlepsze siły w tych krajach, które mają pełną swobodę myślenia i działania—w krajach anglosaskich.

Myśl federacyjna nie może być Anglii obca: przeciwnie, Anglia jest właśnie tym krajem, który posiada najwięcej zrozumienia dla podobnej myśli. Anglia sama widziała jak rosło i rozwijało się pożycie jej *Commonwealth'u;* niepokoiła się ona nieraz w przeszłości rozbiciem, jakie panowało na kontynencie Europy. Anglia poza tym nawykła myśleć w ramach wielkich obszarów i dlatego wielkie bloki państw byłyby dla Anglii czymś znacznie bardziej zrozumiałym, aniżeli szarada mniejszych organizmów.

Oczywiście nie wystarczy stwierdzić, że Anglia patrzy życzliwym okiem na plany federacji w Europie powojennej. Trzeba także zdawać sobie sprawę, w jakich kierunkach idzie myślenie angielskie i o jakiej federacji myśli Anglia. Nie posiadamy w tej mierze żadnych wynurzeń urzędowych; rząd brytyjski nie wypowiedział się w tych sprawach i zupełnie słusznie, uważając, że jest stanowczo za wcześnie na tego rodzaju wynurzenia i że narazie trzeba pozostawić całe zagadnienie do obrobienia przez propagandę "prywatną," przez prasę i książki, przez inicjatywę ludzi nieurzędowego pokroju i rodzaju. Anglia wierzy w skuteczność i potrzebę tego rodzaju przygotowania myślowego. Niejednokrotnie zaś rząd brytyjski idzie za natchnieniami, jakie wysuwa opinia publiczna, niejednokrotnie wyciąga wnioski z tego, co dyskutuje się na rynku.

Niektóre wynurzenia jednakże osób półurzędowych warto zanotować. A więc odezwanie się jednego z czołowych przedstawicieli starszego pokolenia polityków brytyjskich, który niedawno oświadczył, w mowie wygłoszonej bodajże w Kapsztacie, że w Europie należy zaraz po wojnie przystąpić do roboty nad budowaniem Stanów Zjednoczonych Europy, bez żadnych przejść w tym rodzaju jak federacje i związki regionalne. Polityk ten jest zdania, że tego rodzaju związki mogą się tylko przyczynić do nowego pokawałkowania Europy i wywołać nowe starcia i zadrażnienia. Lepiej—jego zdaniem—postawić ludność Europy od razu i niejako bez pardonu przed faktem dokonanym, do którego przywykną one prędzej aniżeli się to nam w tej chwili wydaje.

Wniosek tego rodzaju godzien jest zastanowienia, ale wydaje się, że taka droga "na skróty" może—jak to często przy chodzeniu "na skróty" się wydarza—skończyć się na kluczeniu i na zamęcie. Stworzenie Stanów Zjednoczonych Europy jest planem równie ambitnym co niezmiernie trudnym; cel ten powinien być stacją niejako końcową, ale dla jej osiągnięcia potrzebne są stacje pośrednie.

Wydaje się, że takie rozwiązanie będzie nie tylko bardziej skuteczne, ale i szybsze: może się bowiem zdarzyć, że w sklepie, na którym wywiesimy wspaniały szyld Stanów Zjd. Europy, nie będzie odpowiedniej treści i towarów, że fasada i front nie będą odpowiadały wnętrzu—a wnętrze to musi być dobrze i celowo urządzone i rozplanowane.

Sądzić trzeba, że federacje regionalne, jako faza przejściowa ku wielkiemu ideałowi Stanów Zjed. Europy są najlepszym wyjściem. Narody są organizmami, które powoli przyzwyczajają się do pewnych prawd. Muszą one nawykać stopniowo, nie można ich łamać, nie można przeprowadzać w stosunku do nich "końskiej kuracji." Instynkty narodowe napewno nie wygasną po wojnie; kto wie, czy nie zaostrzą się w krajach podbitych, jako zrozumiała i naturalna reakcja na prześladowania i pognębienie narodowości. Trzeba będzie zatem te wszystkie zapędy i porywy skierować w odpowiednie łożyska, nadawać im kierunek powoli, spokojnie, metodycznie.

Zarysowują się dzisiaj już zgrubsza biorąc pewne kierunki, jeżeli chodzi o ujęcie takich właśnie regionalnych federacyj. A więc mówi się o związku państw Zachodu, którego "skład osobowy" nie jest ustalony—zagadnienie Włoch nie będzie łatwe—oraz o związku państw środkowowschodniej Europy, w którym Polsce przypadłaby rola klucza sklepienia. Sprawa Niemiec i stosunku Niemiec do tych dwóch federacyj nie jest oczywiście wyjaśniona. Domyślać się jednak wolno, że obie federacje będą miały za zadanie trzymanie w szachu wszelkiej możliwej groźby niemieckiej napaści. Tego rodzaju cel jest nie tylko zrozumiały, ale w pełni uprawniony.

Są jednakże autorzy, którzy sądzą, że należało by spróbować na kontynencie Europy zastosować regułę brytyjską i zaprosić niejako *British Empire* na ląd europejski. Autorzy ci są zdania, że istnieje możliwość uzyskania członkowstwa *British Empire* przez rozmaite państwa europejskie i że tego rodzaju członkostwo będzie dla tych państw nieskończenie korzystniejsze, aniżeli wiązanie się w grupy regionalne.

Myśleniu temu przyświeca najlepsza pod słońcem intencja, a mianowicie wciągnięcie *British Empire* do europejskiego zespołu, postawienie Imperium w roli moralnego opiekuna i zwierzchnika skłóconego kontynentu. Anglia—wywodzą wspomniani autorzy—posiada olbrzymie doświadczenie polityczne i ujęcie przez nią cugli spraw kontynentu byłoby zdarzeniem historycznym. Wejście do *British Empire* byłoby dla narodów Europy czymś niebywale cennym: jako wejście do grupy państw, która ma otwarte wrota świata.

Plan ten jest godny uwagi, jakkolwiek wydaje się, że nie posiada on—przynajmniej narazie—oparcia w rzeczywistości. W. Brytania nie zamierza narazie rozszerzać swoich zobowiązań na kontynent, a objęcie narodów Europy—chociażby niektórych tylko państw—ramami *British Empire* byłoby niczym innym, jak olbrzymim rozszerzeniem odpowiedzialności brytyjskich. W rozmowach z Anglikami, gdy mówią oni szczerze o podobnych planach i zamiarach, podkreślają, że klucz sytuacji leży tu w dużej mierze nie w Anglii, ale w Ameryce i że Stany Zjd. będą tym czynnikiem, który mógłby zdecydować, czy wkroczenie ostateczne *British Empire* na kontynent Europy dałoby się wykonać. Nawet jednak i przy najbardziej korzystnym układzie sił należy wątpić—powiadają liczni Anglicy—czy W. Brytania podołałaby olbrzymim trudnościom jako państwo nieobyte ze sprawami kontynentalnymi.

Sądzić należy, że wahania tego rodzaju nie zostaną rozproszone i że opory będą tu zawsze znaczne. Sądzić też wolno, że Anglia raczej powita z największą życzliwością pewien fakt dokonany, pewien dowód, że rejon wschodnio-europejski łączy się i jednoczy, aniżeli pewnego rodzaju "petycję" tych państw o przyjęcie w poczet członków *British Empire.* Anglia wierzy w rzeczy samorodne, w rzeczy, które powstają organicznie, a odnosi się raczej z powątpiewaniem do narzucania takiej czy innej woli, do wtłaczania w ramy organizacyjne innych i odmiennych jednostek, do wszelkiego przymusu i inicjatywy z zewnątrz.

Państwa wschodnio-środkowej Europy muszą przekonać naocznie Anglię, że posiadają wolę wspólnego życia i bytu i że umieją wyciągnąć wnioski z klęski. Z tej racji związek tych państw bez żadnej cudzej reżyserii, federacja spontaniczna, odruchowa, będzie olbrzymim moralnym wkładem i przykładem dla całej Europy. Trzeba zatem zrobić wszystko, ażeby stworzyć ten fakt dokonany, fakt, który otworzy drogę do innych możliwości.

Zbigniew Grabowski



Ignacy A. Paprotny: Chmurna młodość (drzeworyt)

Jeszcze jeden wyskok

Jeszcze tu i ówdzie niezręczna "odkrywka" *Times'a* o porządkowaniu Europy przez Niemcy lub Rosję* odzywa się echami w artykułach tygodników i miesięczników, gdy ta sama idea, tym razem w czerwonym kolorze, wysunięta została na lewicy. Prof. G. D. H. Cole, jeden z czołowych umysłów lewicy brytyjskiej, przywódca "Fabianistów" (odłam umiarkowanych socjalistów) i autor wielu dzieł politycznych—wydał u Gollancza** książkę, w której próbuje przedstawić plan przyszłej Europy. Przyznać trzeba, że p. Cole nie stawia sprawy apodyktycznie i uważa swą książkę za wynik "nieukończonego procesu głośnego myślenia," jako że, "wszyscy dotąd błądzimy w ciemnościach". Ta książka, jak i odosobniony artykuł *Times'a* zdradzają *możliwości rozwiązań*, jakie polityczna myśl brytyjska snuje w swej *podświadomości* i z tego względu zasługują na pilną uwagę.

Pan Cole przewiduje w przyszłości podział Europy "na dwa lub trzy wielkie państwa: rozszerzoną Unię Sowiecką na wschodzie i południu, nowe Zachodnie Państwo, łączące kraje o głębiej zakorzenionych tradycjach wolnościowych i być może nowe Państwo Centralne, gdzieś między tymi dwoma". Licząc na to, że Rosja wytrzyma uderzenie niemieckie, sądzi, że kontrofensywa sowiecka zaleje większość Europy, a wówczas stanie się możliwe "rozwiązanie spraw Polski, Bałkanów, Węgier, przez włączenie ich jako republik sowieckich do wydatnie rozszerzonego państwa, opartego o ZSRR. . ."

Taka możliwość "przerazi być może wielu socjal-demokratów", ale p. Cole uważałby taki obrót sprawy za znacznie lepsze rozwiązanie, niż "jakikolwiek powrót tych państw do dawnych warunków wątpliwej, dotkniętej ubóstwem, swarliwej niezależności, lub jakiejkolwiek w nich odbudowy kapitalizmu."

Mimo wielkich zastrzeżeń wobec polityki Stalina, autor uważa, że "ZSRR. pozostało w istocie socjalistyczne i sowiecka forma rewolucji i rządu jest, być może, jedynie zdolna do wyczyszczenia stajen wschodniej i południowej Europy, lub do rozwiązania zagadnień gospodarczych nieszczęśliwych chłopów tych zubożałych państw". Pan Cole przyznaje, że osobiście byłby "wyjątkowo nieszczęśliwy w Unii Sowieckiej," ale jego szczęście osobiste nie ma znaczenia, gdy idzie "o wyrugowanie systemu klasowego," choćby kosztem nadwyrężenia wolności osobistych. Ta postawa spowodowana jest wiarą, że powrót kapitalizmu w jakiejkolwiek formie jest tylko zapowiedzią nowej wojny; trwały pokój zapewnić może tylko konsekwentnie urzeczywistniony socjalizm.

Szczegółowo w wielu rozdziałach dyskutowane zagadnienia nowej Europy zmuszają autora do rozprawienia się z nacjonalizmem, jako główną przeszkodą do wprowadzenia Paneuropy. Wprawdzie historycznie "okazało się prawdą, że Polska, Czechosłowacja i Finlandia zdobyły prawo do narodowego rozwoju dopiero po całkowitym wyzwoleniu się z pod obcego panowania", lecz na przyszłość całkowita niezależność polityczna małych narodów byłaby tylko przeszkodą. To tylko wygnane rządy utożsamiają sprawy narodowej wolności z odbudową państw narodowych zburzonych przez hitleryzm.

Może okazać się "wielkim błogosławieństwem", jeśli "jak to ma miejsce w wypadku Francji (?) taki wygnańczy rząd nie istnieje." Panu Cole "sen z powiek spędza poważna groźba, że zwycięstwo nad Hitlerem mogłoby oznaczać brytyjsko-amerykański wysiłek przywrócenia władzy królów i rządów, które się całkowicie nie nadają do zadań budowania nowej Europy." Jedyna nadzieja, to "że ludy Holandii, Belgii, Norwegii, Polski, Jugosławii, Grecji i innych państw odmówią powrotu wygnanym władzom."

Socjaliści tych wszystkich krajów muszą coprawda współpracować w przygotowaniu wielu rewolucyj kontynentalnych o charakterze narodowym, bo tylko takie rewolucje mogą mieć szanse powodzenia, ale autor doradza im wielką ostrożność w przyjmowaniu jakichkolwiek zobowiązań co do formy przyszłych rządów, zakładając z góry ponad-narodową organizację przyszłej Europy, jako podstawę programu socjalistycznego. Zresztą wszyscy socjaliści kontynentalni dostają ostrą lekcję od p. Cole za dotychczasowe stanowisko, a socjalizm niemiecki uważa on za zdyskredytowany zupełnie.

Trafne uwagi na temat słabości socjalizmu niemieckiego wydobywają jeszcze jedno tęskne życzenie, że forma sowieckiego rządu "nie tylko znacznie lepiej odpowiada zacofanym krajom wschodniej i południowej Europy", ale kto wie, czy i dla Niemiec nie byłoby dobrym wyjściem znaleść się "w drugiej Unii Sowieckich Republik, rozciągającej się wzdłuż granic ZSSR od Bałtyku do Morza Śródziemnego, a może nawet byłoby lepiej . . . dla Niemiec jak i dla Wschodniej Europy, gdyby włączyć je do rozszerzonego ZSRR."

Dało by to wiele zysków, m. i. zapewniło zwycięstwo rewolucji społecznej w Niemczech. Komuniści niemieccy, "zrobili by to bardzo dokładnie, lepiej niż Rosjanie, przeraźliwie dokładnie pod każdym względem". A przecież chodzi o wywołanie "takiego typu rewolucji, który ma największe szanse powodzenia." Poza tym "plan dla środkowej i wschodniej Europy, oparty na wykorzystaniu niemieckich zdolności technicznych i zasobów gospodarczych w rozwoju zacofanych terenów, jest planem rozsądnym, jeśli by tylko mógł być przeprowadzony na przyzwoitych warunkach dla wszystkich zainteresowanych."

Podaliśmy tu szereg przytoczeń niezbyt dla nas miłych, należy jednak bezstronnie zaznaczyć, że ta książka wyrosła z "głośnego myślenia", posiada też szereg roztrząsań dodatnich, zwłaszcza w rozdziałach "Istota demokracji", "Kapitalizm a Nazi" oraz innych. Autor docenia twórcze wartości nacjonalizmu, zwłaszcza w dziedzinie rozwoju kulturalnego, wolności religijnej, języka, administracji—mocno opowiada się również przy t. zw. podstawowych swobodach, jak wolność opinii, prasy, języka, pracy itd.

Błędów w tym politycznym "myślo-pląsie" p. Cole jest niesłychanie dużo i trudno byłoby je zbijać jeden po drugim. Poprzestaniemy na przeciwstawieniu się pewnym dążnościom ogólnym.

Broniąc zasad wolności jednostki i dążąc do zapewnienia sprawiedliwości społecznej w nowej Europie w stosunku do małych narodów autor przedzierzga się z socjalisty w totalistę . . . . zapomina o podstawowym prawie psychologii narodów, które powiada, że wiązanie grup w większe całości jest procesem długim, pokojowym, rozwojowym, możliwym tylko przy *świadomej zgodzie łączących się grup*, a nie na drodze narzucenia siłą z góry jakiejś ponad-narodowej budowy. Wyśmiewając na jednej stronie żałosną próbę Republiki Weimarskiej, narzuconej przez koalicję, na innych stronach wzywa do podobnej próby sztucznego tworzenia Paneuropy tym razem rękami Sowietów. Istotnie byłby to, mówiąc słowami p. Cole, "dokładny proces" zlikwidowania cywilizacji zachodnio-europejskiej.

Poza tym każdy z narodów ma chyba również w planie socjalistycznym prawo swobodnego określania swojej formy rządu. Gdyby p. Cole znał choć trochę stan wewnętrzny Rosji, wyczułby nadciągające, jako wynik tej wojny, odchylenie raczej od doktryny komunistycznej w kierunku "zgniłego Zachodu," może nie drogą przewrotu, ale koniecznego rozluźnienia teroru i przejścia na drogę wyzwalania energii twórczych mas rosyjskich w atmosferze wolności, swobody i tolerancji.

Można nienawidzieć kapitalizmu, jednak na podstawie obserwacji stwierdzić, że pełny socjalizm, jako rodzaj kapitalizmu państwowego, zbankrutował również. Przyszłe formy ząbkują narazie, gdzieś pośrodku, w pozostawieniu twórczej inicjatywy jednostki i głeboko psychologicznie uzasadnionego prawa własności z jednej strony, przy rozbiciu lub ograniczeniu totalnych, grabieżczych trustów i monopolów niszczących sprawiedliwą i moralną organizację społeczeństwa z drugiej.

Książka p. Cole jako zjawisko, które wyskoczyło ponad trudna do odcyfrowania podświadomość pewnego odłamu opinii brytyjskiej, uwidacznia tę samą niecierpliwość i pryncypializm w rozwiązywaniu spraw Europy, co i wygodnicki, konserwatywny z ducha artykuł *Times* 'a. Mamy więc zestawione dwie odmiany tego samego samolubstwa narodowego, które po prostu radby zepchnąć trudne sprawy poza obręb swego czynnego udziału. Jest to jeden, z rzadkich na szczęście, objawów defensywy ducha demokracji brytyjskiej, która buduje od wieków z nadzwyczajnym zmysłem rzeczywistości własną wolność, a w odniesieniu do Europy przypomina dziecko, które rozdrażnione trudnym do uruchomienia czy naprawienia mechanizmem, odrzuca go beztrosko, lub daje innym do naprawy, nie zastanawiając się w jakie idzie ręce i czy mechanizmowi wyjdzie to na zdrowie.

Tymczasem tak sojusznicy, jak i wybitne umysły anglo-saskie wołają o *ducha ofensywy i twórczej, mądrej budowy również w dziedzinie celów wojny tak ogólnych, jak i szczegółowych*. Książka p. Cole żądania tego nie spełnia i główna jej wartość polega na wczesnym odkryciu niebezpiecznej dla nas możliwości i to w formie prowokującej, zmuszającej do zaostrzenia czujności i stanowczego przeciwstawienia się.

Na szczęście wynurzenia p. Cole nie są odbiciem poglądów całej lewicy angielskiej. Książka spotkała się z ostrą krytyką na łamach lewicowego miesięcznika "*Left Youth.*" Recenzent w. *Daily Herald* pomysły Cole'a potraktował bardzo pobłażliwie, a niezbyt Polakom życzliwy prof. H. Lasky, omawiając książkę w *Manchester Guardian* zupełnie pominął wszystkie niebezpieczne projekty. Wątpić też należy czy którykolwiek z ministrów labourzystów podpisał by się pod jakimkolwiek projektem przyszłej Europy p. Cole.

Nie wyolbrzymiając więc wagi wystąpienia, zanotujmy tylko sobie ten wyskok i przygotujmy kontr-argumenty rozumowe ważne dla świata anglo-saskiego, zanim by tego rodzaju niebezpieczne dla sprawy polskiej poglądy wystąpiły w większym nasileniu.

Antoni Mamrot

* Por. Michał Prozor: "Cenne ostrzeżenie," druk. w nr. 33 "Polski Walczącej."

** G. D. H. Cole: "*Europe, Russia and the Future,*" London, Victor Gollancz, Ltd., 1941

Przegląd polityczny

W roku 1938, nawet skądinąd poważni publicyści twierdzili, że sytuacja polityczna jest tak pogodna, "iż można chodzić w letnim ubraniu, bez parasola" i dążenia hitlerowskie ograniczają się jedynie i wyłącznie do "etnograficznych zagadnień niemieckich." W roku 1939 inni publicyści, coprawda daleko mniej poważni, rozpisywali się o "blaszanych czołgach niemieckich," traktując wyraźnego już nieprzyjaciela z pogardliwą wyższością. A o Rosji miano wszędzie równie powszechną jak i błędną opinię, streszczającą się w zdaniu, że "wszystko rozwali się od jednego uderzenia."

Ale, jeżeli chodzi o Rosję, to wielką pomyłkę w rachunku wykazuje również wywiad niemiecki. Nie lekceważył on sobie wojskowego pogotowia Sowietów. Przeciwnie, wyprawa na Rosję została przygotowana niezwykle starannie i na ogromną skalę. Rzucono na front wschodni całą wojskową potęgę Trzeciej Rzeszy, wzmocnioną gospodarczą pomocą całego kontynentu europejskiego. Zdolność oporu Rosji brano więc w rachubę, *ale mimo to popełniono błąd*. Opór, na jaki natrafiła armia niemiecka i świetna armia fińska, tudzież dywizje węgierskie, rumuńskie, włoskie i słowackie—okazał się większy od najbardziej ostrożnych przewidywań niemieckiego sztabu generalnego.

Hitler zapowiedział skończenie wojny i "największy triumf oręża niemieckiego" w roku 1941. Do urzeczywistnienia tych przyrzeczeń, które zna cała Rzesza, które nie tylko podano w prasie i przez radio, ale nawet rozplakatowano w każdej gminie niemieckiej i każdym mieście okupowanym—ma jeszcze Führer cztery tygodnie czasu. Można z całym spokojem twierdzić, że przyrzeczenia swego dotrzymać nie zdoła. Nie tylko wojna światowa, ale nawet wojna w Rosji nie skończy się w 1941. Rok 1941 był okresem olbrzymiego wysiłku ale nie triumfu. Zawód społeczeństwa jest poważny, wiara w nieomylność Führera bardzo poderwana.

Czy fakt ten skłoni naród niemiecki do "zerwania kajdan tyranii"? Czy społeczeństwo to jest, jak to widzi Stalin, naprawdę "podobne do wulkanu przed wybuchem?". Bardzo w to wątpimy. Żołnierz niemiecki bije się dobrze. Komuniści niemieccy strzelają pod Moskwą równie celnie, jak ich koledzy z SS. O żadnym rozkładzie w wojsku nie może być mowy. Naród niemiecki zdaje sobie bardzo dobrze sprawę z tej stawki, o jaką gra idzie, i z tego faktu, *że na całe społeczeństwo spada odpowiedzialność za poparcie awantury nazistowskiej, bo całe społeczeństwo było i jest, jeszcze w tej chwili za Hitlerem.*

Jeżeli naród niemiecki "zbuntuje się"—to uczyni to wówczas, kiedy nie będzie najmniejszej szansy zwycięstwa i uczyni to na rozkaz tych samych przywódców, którzy nałożyli mu te "kajdany." Nie wolno zapominać o fakcie, *że wojna obecna jest wojną psychologiczną i wszystkie chwyty propagandowe są i będą w dalszym ciągu stosowane*. Jeżeli sytuacja wojskowa Niemiec będzie naprawdę rozpaczliwa—to jeden telefon z Kwatery Głównej wystarczy, aby chorągiew ze swastyką, powiewającą nad Pałacem Kanclerskim w Berlinie zastąpić chorągwią z sierpem i młotem. Trzeba być przygotowanym i na tę chwilę.

Ale ta chwila nie nadejdzie tak szybko. Wojna w Rosji będzie toczyła się długo. Straty niemieckie są olbrzymie, ale i rosyjskie niemałe. Nie jest zupełnie wykluczone dojście Niemców w 1942 roku do Moskwy i Kazania, nie wykluczone zajęcie północnego Kaukazu.

Czy będzie to jednak równoznaczne z zakończeniem wojny światowej? Stanowczo nie. *Albowiem ta klęska, jaką Hitler poniósł w walce z czasem, rysuje się już dzisiaj w postaci konturów drugiego frontu w zachodniej Europie*. Front ten istnieje i przypomina o swym istnieniu hukiem bomb brytyjskich nad Niemcami. W roku 1942 może wzmocnić się jednak do rozmiarów, z jakich mało kto zdaje sobie dzisiaj sprawę. I nawet w razie sukcesów Hitlera w Rosji—ostatnie zdanie będzie należało do narodów anglo-saskich.

Pierwsze słowo w tym zdaniu zostało już wypowiedziane przez Stany Zjednoczone. Ameryka nie jest już neutralna. Ameryka, uzbrajając swe statki handlowe i konwojując je do brzegów brytyjskich, bierze już czynny udział w wojnie. I tej walki, jakie podjęły Stany—przegrać społeczeństwo amerykańskie nie może i nie może się z niej wycofać. Zbyt wielkie bowiem wartości zostały zaangażowane.

Polityka Roosevelta okazała się więcej niż świetna. *Okazała się słuszna, gdyż dostosowana do tych praw wojny psychologicznej, którą rozpoczął Hitler na wszystkich frontach świata, wszystko jedno "bojowych" lub "neutralnych."* Roosevelt wojny swemu społeczeństwu nie narzucił, *ale przekonał je o konieczności czynnego w tej walce udziału*. Ta wojna nerwów, którą stoczono w Stanach była niezwykle ciężka, gdyż przeciwnik rozporządzał decydującymi zawsze w grze wojenno-politycznej kartami — *mianowicie atutem sukcesu*. Stany Zjednoczone nie mogły znieść aktu neutralności po katastrofie Francji. Ameryka *nie mogła wejść do akcji czynnej, zanim nie wyjaśniła się sytuacja w Rosji.*

Wypadki wojskowo-polityczne łączą się i zazębiają wzajemnie, o czym nie zawsze pamiętają przygodni politycy i stratedzy z nieprawdziwego zdarzenia. Gdyby Hitler zdołał naprawdę zająć Moskwę w przeciągu dwóch tygodni i wygrać wojnę w dwóch miesiącach—to Stany Zjednoczone nie weszłyby do akcji, gdyż sytuacja Wielkiej Brytanii byłaby wówczas katastrofalna. Posługiwali się tym argumentem izolacjoniści.

—*Rosja*—mówił w lipcu 1941 Lindberg—*padnie w najbliższym czasie. Wojska niemieckie zajmą w ciągu jesieni Bliski Wschód wraz z całym wybrzeżem Morza Śródziemnego. Wówczas rola Ameryki może polegać tylko na pośrednictwie w rozmowach pokojowych*. . .

Rzeczywiście, w tym okresie klęska Rosji przesądzałaby w bardzo poważnej mierze wynik wojny w ogóle. Dzisiaj jest już inaczej, ale z tej perspektywy kilku miesięcy widać, jak słuszna była polityka Churchilla—pomocy dla Rosji, na ogromnych obszarach Sowietów.

Wejście Stanów Zjednoczonych do akcji czynnej, nastąpiło po klęsce Hitlera w walce z czasem. "Wojnę—mówił Kanclerz w 1940 —wygra motor." Słuszne określenie. Ale w ciągu pięciu miesięcy ustawicznych, bardzo ciężkich walk, zużyły się motory niemieckie. Czytamy już w komunikatach D.N.B. o "zwycięskim odparciu przez naszą piechotę czołgów sowieckich." Na południu trzeba odpierać nawet—kawalerię.

Pisaliśmy, że Niemcy zdołają uzupełnić straty poniesione w ciągu zimy na froncie rosyjskim. Lecz *wystarczą one tylko na front rosyjski*. Na Zachodzie zarówno sprzętu jak przede wszystkim pilotów może już Hitlerowi zabraknąć. Zdaje sobie z tego sprawę propaganda Goebbelsa i dlatego czytamy w prasie nazistowskiej "że w razie potrzeby, w każdej chwili można będzie przerzucić nasze czołgi i nasze lotnictwo na Zachód."

Horoskopy dla Hitlera nie są dobre. Dzięki poświęceniu i oporowi Polski nie udało się mu osiągnąć przewagi na kontynencie europejskim bez wojny. Dzięki stanowisku Anglii—nie zdołał Brunatny Kanclerz zawrzeć pokoju w czerwcu 1940. W sierpniu i wrześniu 1940 przegrał bitwę o W. Brytanię. W ciągu zimy 1941 przegrał bitwę o Egipt i Bliski Wschód. W czasie miesięcy wiosennych przegrał bitwę o Atlantyk. W lecie przegrał kampanię z czasem na olbrzymich obszarach Rosji. Obecnie przychodzi najdotkliwszy cios, będący następstwem poprzednich niepowodzeń: klęska w walce o duszę Ameryki, o neutralność Stanów Zjednoczonych.

Akcja amerykańska zaznaczy się nie tylko na Wyspach Brytyjskich, do których będą zawijały zbrojne okręty pod gwiaździstym sztandarem. Zaznaczy się ona również na południu, na Morzu Śródziemnym. Ten wielki basen stał się w tej wojnie punktem newralgicznym całej akcji. Walka defensywna, obrona Morza Śródziemnego została przez Wielką Brytanię w bardzo dużym stopniu wygrana. *Odnosi się wrażenie, iż nadchodzi czas akcji czynnej, ofensywnej*. Znaczenie jej pod względem politycznym może być kolosalne, gdyż nie jest wykluczone, że doprowadzi do rozbicia tego fundamentu, na którym opierały się wszystkie, dotychczasowe sukcesy Hitlera, a mianowicie zniszczenia osi, której siła oporu, wbrew temu, co tak często się mówi—nie jest równoleżnikowa, ale południkowa.

tk

BRYTYJSKO-POLSKA PRZYSZŁOŚĆ BAŁTYKU

III.—Braterstwo walki i wspólnota interesów*

Czas już dziś zastanowić się, co można by uczynić, by zapewnić brytyjsko-polskie panowanie na Bałtyku, będące jednym z warunków wolności i bezpieczeństwa państw tego obszaru.

Przede wszystkim musimy tłumaczyć Brytyjczykom, że po skończonej wojnie W. Brytania nie może odwrócić się plecami do zagadnień Europy Środkowej i Wschodniej. Wprawdzie po słynnym artykule "*Timesa*" z 1-go sierpnia rb. nastąpiły liczne oświadczenia i artykuły przeciwstawiające się jego poglądom lub odżegnujące się od nich, tym nie mniej myśl wycofania się po wojnie z czynnej polityki na wschodzie Europy będzie miała w W. Brytanii wielu zwolenników. Trzeba im wciąż tłumaczyć, że w tym wypadku mielibyśmy — za dwadzieścia lat, może nawet prędzej—nową wojnę.

Musimy tłumaczyć, że W. Brytania nie tylko nie powinna obracać się plecami do spraw tej części kontynentu, ale przeciwnie powinna współpracować z państwami tego rejonu w budowie nowego życia podczas pokoju i zapewnić im szybką i skuteczną interwencję na wypadek przyszłej wojny. Od tego już tylko krok do stwierdzenia, że W. Brytania winna mieć bazy morskie i lotnicze, umożliwiające jej szybką i skuteczną pomoc na wypadek nowej próby wywołania przez Niemcy wojny w centrum lub na wschodzie Europy. Co stwierdziwszy—dowodzimy równocześnie konieczności panowania floty brytyjskiej na Bałtyku, tak jak panuje ona np. na Morzu Śródziemnym.

Dwie są sprawy, które muszą być w tym celu załatwione w przyszłym traktacie pokojowym. Pierwsza—W. Brytania winna położyć rękę na wrótach Bałtyku. Druga—W. Brytania winna posiadać na Bałtyku pewnego politycznie sprzymierzeńca, rozporządzającego licznymi, bezpiecznymi i strategicznie w odpowiednim miejscu położonymi bazami wojenno-morskimi, oraż dostatecznie silną flotą wojenną, mogącą bronić tych baz i współdziałać z flotą brytyjską w ofensywie morskiej.

ZAJĄĆ KANAŁ KILOŃSKI

Dwie są drogi na Bałtyk—droga naturalna przez cieśniny duńskie i droga sztuczna przez Kanał Wilhelma, Kanał Kiloński.

Nie można popełnić po raz drugi błędu wersalskiego—Kanał Kiloński musi być Niemcom odebrany. Zapewnienie spokoju narodom skandynawskim i bałtyckim jest celem całkowicie uzasadnionym.

Kanał musi być broniony z lądu, powietrza i wody. Na południe od Kanału winny powstać silne fortyfikacje, osłaniające przed atakiem wojsk lądowych. Sieć lotnicza na północ od Kanału oraz baterie artylerii przeciwlotniczej stanowić muszą osłonę przed lotnictwem niemieckim. Obronę morską winny zapewnić bazy morskie w Kilonii i Wilhelmshaven oraz na wyspie-fortecy Helgoland, tak niebacznie odstąpionej przeż W. Brytanię Niemcom, wzamian za afrykańską kolonię Zanzibar. Kilonia, Wilhelmshaven i Helgoland będą w rękach W. Brytanii strażnikami Kanału od strony morza, a równocześnie gwarancją, że potęga morska Niemiec już nigdy się nie odrodzi.

Odsunięcie Niemiec na południe od Kanału Kilońskiego i stworzenie zbrojnych baz brytyjskich nie tylko zlikwiduje możliwość odrodzenia się potęgi morskiej Niemiec, nie tylko odsunie niebezpieczeństwo inwazji niemieckiej na Danię i Skandynawię, ale stworzy podstawę wypadową do uderzenia w serce Niemiec w razie sprowokowania przez nie w przyszłości nowej wojny.

Z lotnisk położonych na tym terenie, Hamburg, Brema, Szczecin nawet—są w zasięgu lotu myśliwców, mogą więc być bombardowane również w dzień. Posiadając lotniska można zupełnie sparaliżować wszystkie porty niemieckie. Podczas pokoju Niemcy mogły by całkowicie korzystać z morza, ale w razie wojny, nowe brytyjskie bazy wojenno-morskie i lotnicze natychmiast zamknęły by im szlaki morskie.

GIBRALTAR W CIEŚNINACH DUŃSKICH

Przechodząc do sprawy cieśnin duńskich trzeba przede wszystkim stwierdzić, że już samo usunięcie Rzeszy za Kanał Kiloński oraz zajęcie Kilonii, Wilhelmshaven i Helgolandu znacznie podniosło by stopień ich zabezpieczenia. Bazy wypadowe nieprzyjaciela zostały by odsunięte, Bełt nie był by pod obstrzałem niemieckim z brzegu. Nawet gdyby nieprzyjacielowi udało się postawienie na nim pól minowych nie były by one bronione.

Kilonia, zamiast flankować południowe wyloty obu Bełtów, osłaniała by je przed ewentualnym atakiem ze strony floty niemieckiej, pozbawionej swej najdogodniejszej bazy na Bałtyku. Helgoland zaś, strzegąc baz niemieckich na Morzu Północnym, osłaniał by tyły floty brytyjskiej, działającej w cieśninach.

Pomimo jednak tych wszystkich atutów W. Brytania powinna położyć rękę i na samych cieśninach, ustanawiając bądź jedną bazę od strony Morza Północnego, zapewne w Kategacie, a drugą na jednej z wysp u wylotów cieśnin Bałtyckich, bądź jedną tylko bazę w samych cieśninach.

KOSZTOWNE LECZ KONIECZNE

Nie ulega wątpliwości, że ujęcie mocną ręką bram Bałtyku jest przedsięwzięciem kosztownym, historia jednak uczy, że najkosztowniejsze jest zaniedbanie troskliwej obrony pokoju.

Tereny na północ od Kanału będą miały dwojakie przeznaczenie. Cała południowa ich część oraz bazy morskie i punkty strategiczne winny być przyłączone do Imperium Brytyjskiego. Północna część, gdzie istnieje znaczna ilość miejscowej ludności duńskiej, powinna być przyłączona do Danii, wzamian za tereny oddane przez Danię pod bazy brytyjskie w samych cieśniach.

W ten sposób rozwiązane były by wszystkie zagadnienia, związane z opanowaniem przez W. Brytanię wrót Bałtyku.

W. BRYTANIA A PAŃSTWA SKANDYNAWSKIE I BAŁTYCKIE

Trzymanie wrót Bałtyku nie wystarczy, by panować na całym tym morzu, jest ono za obszerne, by rządzić na nim, siedząc tylko w jego południowo-zachodniej części. W. Brytania musi mieć na Bałtyku sprzymierzeńców, rozporządzających bazami wojenno-morskimi, odpowiednim położeniem strategicznym i flotą dostatecznie silną, by bronić baz i współdziałać z akcją ofensywną *Navy* na Bałtyku. Jest rzeczą jasną, że sprzymierzeńcem takim może być tylko państwo duże, a więc Polska lub Rosja.

Tym nie mniej zanim przejdziemy do omówienia roli tych państw na Bałtyku, powiedzmy parę słów o roli państw skandynawskich i bałtyckich. Przede wszystkim więc kraje bałtyckie: Estonia, Łotwa i Litwa nie mogą odegrać większej roli w kształtowaniu się przyszłości Bałtyku, choć bazy estońskie w Tallinie i Porcie Bałtyckim oraz łotewskie na wyspach u wylotu Zatoki Ryskiej mają niemałe znaczenie. Bazy te w czasie wojny zawsze staną się łupem jednej ze stron walczących. Dania, Szwecja i Finlandia, przy bardzo niewielkiej liczbie ludności i dążeniach do zachowania neutralności za wszelką cenę, nie mogą liczyć się jako sojusznicy czynni, przytem jedynie Szwecja rozporządza na morzu poważniejszymi siłami morskimi i lotniczymi. I one jednak są niewystarczające dla obrony baz i wybrzeży tego kraju.

Każdy jednak z tych trzech krajów rozporządza poważnymi atutami strategicznymi. W rękach Danii znajdują się cieśniny duńskie, Szwecja, to całe północno-zachodnie wybrzeże Bałtyku z licznymi portami i bazami na lądzie i wyspach. Finlandia rozporządza wyspami Aleuckimi, które z jednej strony zamykają Zatokę Botnicką czyli cały północny Bałtyk, z drugiej strony flankują wylot zatoki fińskiej. Poza tym do Finlandii należy cały północny brzeg tej zatoki. Jak z tego widać stanowisko tych trzech krajów w razie ewentualnego przyszłego konfliktu na Bałtyku, choć same one nie mogą wziąć w nim udziału, mogło by posiadać poważne znaczenie.

Dania jest krajem wysokiego dobrobytu i spokojnego życia, który nie tylko nie jest zdolny się obronić, ale w żadnym wypadku bronić się nie będzie. I dla tego też W. Brytania, przy zachowaniu jak najżyczliwszej współpracy z nią w budowie pokojowej przyszłości Europy, musi posiadać we wrotach Bałtyku własne bazy wojenne morskie i lotnicze.

Szwecja również dążyć będzie do zachowania neutralności za wszelką cenę, w każdym razie za cenę bardzo daleko idących ustępstw wobec strony silniejszej na Bałtyku. Dziś demokratyczna Szwecja oddaje duże usługi Niemcom hitlerowskim—pod przymusem, któremu, można ją rozumieć, nie przeciwstawiła się siłą. Podkreśliliśmy—*pod przymusem*. Ale w Szwecji sympatie proniemieckie i wpływy niemieckie są ogromne i tylko "zasługą" hitlerowców jest, że obecnie nastroje szwedzkie skierowane są przeciwko Rzeszy. Niezupełnie tak samo było w poprzedniej wojnie. Było nawet zupełnie inaczej. Jest rzeczą dość prawdopodobną, iż w jakimś przyszłym konflikcie sympatie i pomoc Szwecji będą po stronie każdych Niemiec, jeśli nie będą to Niemcy Hitlera.

Również w Finlandii, u sprzymierzeńca cennego raczej dla strony walczącej przeciwko Rosji, były, są i będą silne sympatie i wpływy niemieckie. Przyczyny są zrozumiałe. Rosja jest o miedzę. Rosja, której imperializm stale ostrzy zęby na kraj położony na północnym brzegu zatoki, będącym jedynym naturalnym wyjściem tego wschodniego olbrzyma na Bałtyk. Niemcy są daleko, nie ma z nimi żadnych spraw spornych, wiąże się z nimi natomiast wspomnienie czasów, gdy w wyniku upadku Rosji carskiej powalonej przez Rzeszę—Finlandia odzyskała swą niepodległość. Szczególnie po obecnej wojnie, w której Rosja wystąpiła wobec Finlandii w roli napastnika, a Rzesza jako sprzymierzeniec, pragnący zwrócić jej poprzedni stan posiadania—można spodziewać się, że niezależnie od końcowego wyniku walk, sympatie proniemieckie raczej się w Finlandii ugruntują.

Jak z tego krótkiego przeglądu widzimy, żaden z krajów skandynawskich i bałtyckich samodzielnie nie może odegrać poważniejszej roli, żaden też automatycznie nie stanie się sprzymierzeńcem W. Brytanii, a przy swej słabości umożliwi korzystanie ze swych atutów strategicznych i bogactw naturalnych temu, kto będzie na Bałtyku silniejszy i będzie działać bardziej stanowczo.

Jest to jeszcze jeden dowód więcej, że W. Brytania, chcąc mieć głos decydujący na wschodzie Europy, musi mieć na Bałtyku silnego sprzymierzeńca, co pozwoli jej na zdyskontowanie wszystkich korzyści również na terenie małych, neutralnych państw tego rejonu.

ROSJA I POLSKA NA MORZU

A więc Rosja czy Polska? Albo nawet jeśli i Rosja i Polska, to kto przede wszystkim.

W ciągu dwudziestu paru lat istnienia, Rosja Sowiecka stworzyła armię, która bije się znacznie lepiej od carskiej, ale nie stworzyła floty, która swym ciężarem gatunkowym odpowiadałaby państwu o 150 milionach ludności, zajmującemu 1/6 część kontynentów świata i posiadającemu tysiące kilometrów wybrzeży morskich.

Polska rozporządzała w porównaniu z Rosją minimalnymi możliwościami jako państwo morskie. I choć nie stworzyliśmy dużej floty, do walki na morzu wnosimy wspaniałego, bohaterskiego ducha naszej niewielkiej floty wojennej i handlowej, które dzień po dniu od dwu lat piszą złotą księgę naszej historii na morzu i dzień po dniu składają liczne dowody, że jesteśmy narodem, któremu tylko trzeba dać możliwości i czas—a stanie się napewno narodem morskim.

BAZY POLSKIE WAŻNIEJSZE STRATEGICZNIE

Rosja nie rozporządza wartościowymi bazami pod względem strategicznym. Właściwa Rosja posiada na Bałtyku tylko jedną jedyną własną bazę morską—w Kronsztadcie, na morskim przedpolu Leningradu, w głębi Zatoki Fińskiej. Baza ta nie ma żadnej wartości ofensywnej, a dla floty działającej od strony baz w cieśninach duńskich położona jest za daleko i głęboko wewnątrz niebezpiecznej, bo łatwej do zablokowanie zatoki. Nawet dla celów obronnych Kronsztadt jest niewystarczający i z punktu widzenia obrony własnej zrozumiałe było dążenie Rosji do posiadania baz morskich na brzegach Finlandii, Estonii i Łotwy.

Jednak nawet gdybyśmy stanęli na stanowisku, że Rosja będzie mogła po wojnie nadal korzystać z tych baz—wszystkie one mają charakter raczej tylko obronny i mogą wprawdzie służyć za porty schronienia dla floty brytyjskiej, jednak poza wyspami u wylotu Zatoki Ryskiej nie stanowią zbyt wygodnych baz wypadowych w akcji ofensywnej, szczególnie na szlaki komunikacyjne Niemiec z południową Szwecją. Poza tym bazy rosyjskie, bazy Finlandii i Estonii, które mogą być w rękach Rosji, znajdują się w zatoce, którą ruchliwa flota niemiecka, gdyby Prusy Wschodnie miały pozostać przy Rzeszy, potrafi zablokować.

Polska w granicach przedwojennych nie posiada żadnych szans nie tylko urośnięcia na siłę na Bałtyku ale nawet utrzymania swego dostępu do morza. Jeżeli jednak przyszły pokój odda nam Prusy Wschodnie, zyskamy dość długą linię wybrzeża, by posiadać i utrzymać potrzebne nam bazy morskie, mogące być podstawą działania dla silnej floty wojennej.

Bazy te miały by bardzo dogodne położenie strategiczne. Z jednej strony nie były by zbyt odległe od bram Bałtyku, z drugiej zaś strony mogłyby skutecznie zagrażać niemieckim liniom komunikacyjnym zarówno z południową jak i z północną Szwecją /rudy szwedzkie i norweskie/. Wprawdzie bazy polskie były by stosunkowo blisko położone od wybrzeży niemieckich, jednak część z nich /Królewiec/ byłaby dość znacznie odsunięta od linii ewentualnego frontu lądowego, zaś przed atakiem z morza broniłoby je zarówno ukształtowanie wybrzeży /Zatoka Gdańska i Fryzyjska/ jak fakt, że *Royal Navy* flankowałaby flotę niemiecką ze swej bazy w Kilonii.

Przy poparciu W. Brytanii, otrzymawszy pomoc w budowie dalszych okrętów wojennych, oraz w oparciu o kilka bezpiecznych baz morskich, Polska pracą jednego pokolenia stać się może siłą, która u boku W. Brytanii zdolna będzie utrzymać panowanie na Bałtyku.

NIC NAS NIE DZIELI—WSZYSTKO ŁĄCZY

Również względy polityczne przemawiają za oparciem się na Bałtyku przede wszystkim na silnej Polsce na morzu. Opinii brytyjskiej trzeba przypomnieć, że Rosja, jako mocarstwo azjatyckie, ma z W. Brytanią liczne sprzeczne interesy polityczne.

Inaczej z Polską. Nie mamy z W. Brytanią żadnych sprzecznych interesów politycznych. Bronimy tych samych ideałów. Przy budowie przyszłej Europy, będziemy jak najściślej współpracować w tym samym obozie postępu i ładu społecznego. Lojalność nasza wobec raz przyjętych zobowiązań jest znana i niezachwiana.

WIELKA BRYTANIA Z POLSKĄ

Niezależnie więc od tego jak W. Brytania będzie układać swe przyszłe stosunki z Rosją, jedno jest pewne, w interesie bezpieczeństwa i pewności stosunków na Bałtyku, leży ścisła współpraca morska W. Brytanii właśnie z Polską, leży brytyjsko-polskie panowanie na tym morzu. Rejon Bałtyku jest niesłychanie ważny dla całości stosunków europejskich. To też brytyjsko-polskie panowanie na Bałtyku jest sprawą doniosłą dla przyszłego pokoju całej Europy.

Wielka Brytania musi panować nad wrotami Bałtyku, musi też mieć na tym morzu pewnego i silnego sojusznika w Polsce, szeroko i mocno opartej na wybrzeżu, silnej na morzu.

* * *

Na zamku Elsinör, na brzegu Sundu, na zamku, którego położenie było źródłem znaczenia i bogactwa jego panów—bohater najgłośniejszego dzieła genialnego Shakespeare'a Hamlet, rzucił swe nieśmiertelne pytanie: "*To be, or not to be, that is the question?*"—"Być czy nie być. Oto pytanie?"

Czy to przypadek umieścił Hamleta na wybrzeżu Sundu? Nie jest natomiast przypadkiem, ale wynikiem woli upartej, że nad Elsinör, Sundem i Bełtem powiewa dziś sztandar ze swastyką.

Dla przyszłości Polski i Europy sprawa, kto będzie panował nad Sundem i resztą wejść na Bałtyk jest zbyt doniosła, by można było mieć wątpliwość co do tego, jaką mamy dać odpowiedź.

Odpowiedź może być tylko jedna: "*To be!*"

Być razem na Bałtyku. Razem — Wielka Brytania i Polska.

Andrzej Doddies



Polskie bandery wojenne w brytyjskim porcie

* Por. dwa pierwsze artykuły cyklu: "Polska po-wersalska i przyszła Polska na morzu," druk. w nr. 44 i "Nauka z wyprawy, która nie doszła do skutku," druk. w nr. 46 "Polski Walczącej" z b.r. Niniejszy artykuł zamyka cykl.

"Uniwersytet w Griazowcu"

Wywiad specjalny z profesorem Wacławem Komarnickim

Prof. Wacław Komarnicki, który niedawno przyjechał do Wielkiej Brytanii po zwolnieniu z obozu jeńców w Rosji udzielił Zrzeszeniu Profesorów i Docentów wywiadu, dotyczącego jego pobytu w niewoli.

—Zostałem wzięty do niewoli 18 września 1939 roku;—opowiada prof. Komarnicki—wypuszczono mnie na wolność po niespełna dwóch latach.

—W jakich stronach przebywał Pan przez ten czas, panie profesorze?

—Byłem ogółem w pięciu obozach: dwa pierwsze obozy położone były w północnej Ukrainie, pierwszy w miejscowości Tiotkino, drugi w Putiwlu. Pierwszy był prowizorycznym obozem etapowym; drugi również był obozem przejściowym, w którym przebywali razem oficerowie i żołnierze; jednak był on lepiej zorganizowany, niż poprzedni. Pobyt w obu tych obozach był krótkotrwały, razem około sześciu tygodni.

—A następnie?

—W początkach listopada, z obozu w Putiwlu zostaliśmy przeniesieni do koncentracyjnego obozu oficerskiego w okręgu Smoleńskim, w Kozielsku. Tam przebywaliśmy dłużej. Skupiło się tam 4.000 oficerów, wśród których znajdowało się kilkunastu profesorów i uczonych, reprezentujących najrozmaitsze specjalności.

—A jak przedstawiały się na ogół warunki życia?

—W pierwszych dwóch obozach było bardzo źle; w Kozielsku stosunkowo bardziej znośnie, choć i tam warunki higieniczne były ciężkie z uwagi na znaczne bardzo skupienie wielkiej ilości ludzi na ograniczonej przestrzeni. Obóz mieścił się w gmachach poklasztornych, w których przed wojną zorganizowany był Robotniczy Dom Wypoczynkowy im. Gorkiego. Wielkie sale zastawione były kilkoma piętrami prycz, na których spali jeńcy początkowo—w braku słomy—na gołych deskach.

—Czy to w tym obozie udało się Panom zorganizować wykłady i odczyty?

—Pierwsze wykłady—choć nielegalnie—były właśnie tam prowadzone. Ponieważ mieliśmy licznych specjalistów, można było urządzić wykłady z różnych dziedzin wiedzy; cieszyły się one znaczną frekwencją. Organizacja ta powstała samorzutnie, bez narzuconego z góry planu. Po prostu każdy dawał to, co mógł, w zakresie swej specjalności; wykłady te znajdowały chętny posłuch, pomimo że nie były one zalegalizowane. Praca ta dawała bardzo wiele zarówno wykładowcom, jak i słuchaczom. Przyczyniła się ona w wysokim stopniu do podtrzymania na duchu jeńców.

—A czy mieli Panowie możność otrzymywania książek?

—Mieliśmy początkowo tylko dostęp do miejscowej biblioteki Robotniczego Domu Wypoczynkowego. Były tam książki rosyjskie beletrystyczne, oraz literatura agitacyjna z dziedziny marxizmu i leninizmu. Następnie jednak sprowadzono nam z Moskwy bibliotekę zagraniczną, składającą się głównie z książek angielskich. Było tam nieco beletrystyki, oraz książki naukowe, historyczne, również z dziedziny polityki, spraw kolonialnych. Od czasu do czasu przywożono też z Moskwy książki, które można było kupować —były to zwłaszcza gramatyki, słowniki, przeważnie angielskie; chętnych do kupowania książek nie brakło: tworzyły się "ogonki" nieraz po kilkaset osób.

—A czy mieli Panowie możność otrzymywania dzienników i w ogóle informacyj dotyczących sytuacji wojennej?

—Owszem, w obozach mieliśmy prasę sowiecką oraz słuchaliśmy komunikatów radia moskiewskiego.

—A jaki był następny etap wędrówki?

—W kwietniu 1940 roku rozpoczęło się rozparcelowywanie wielkich obozów na mniejsze i wysyłanie jeńców partiami. Trwało to do połowy maja mniej więcej. Grupa 400 jeńców, do której należałem, została przejściowo umieszczona niedaleko poprzedniego obozu, w Juchnowie, również w okręgu Smoleńskim. Usiłowaliśmy tam prowadzić dalej prace wykładowe, chociaż w mniejszym zakresie ze względu na zmniejszone grono towarzyszy. Pobyt w tym —czwartym z kolei—obozie trwał zaledwie miesiąc.

—Zatem w piątym—ostatnim obozie przebywał Pan najdłużej? Dokąd przeniesiono Panów następnie?

—W ostatnim obozie przebywałem istotnie najdłużej, bo rok z górą. Tym razem przeniesiono nas znacznie dalej na północ, do miejscowości Griazowiec w okręgu Wołogodzkim. Ulokowana tam została grupa jeńców z Juchnowa i dopiero pod sam koniec pobytu, t.j. w czerwcu 1941 roku przywieziono tam partię 1300 jeńców, poprzednio internowanych na Litwie, a stamtąd zagarniętych przez wojska sowieckie w lipcu 1940 roku. Po zlikwidowaniu naszego wielkiego obozu w Kozielsku, ta partia jeńców przez jakiś czas tam przebywała.

—A więc to w tym obozie powstał ów sławny "Uniwersytet Griazowiecki," o którym Pan nam wspominał?

—Obóz w Griazowcu skupiał dużą bardzo ilość młodzieży, pełnej zapału, żądnej wiedzy, rozszerzania i pogłębiania horyzontów myślowych, a teraz skazanej na przymusową bezczynność, dławiącej się w zamknięciu. Nam profesorom, przebywającym w tym obozie, samorzutnie narzucił się obowiązek ratowania duchowego tej młodzieży. Wypełnić pustkę duchową młodym żołnierzom, a przez to uczynić znośniejsze warunki ich egzystencji obozowej—oto były pierwotne założenia naszych pogadanek. Zostały one przyjęte z entuzjazmem przez żołnierzy. Okazały one potem taką dążność do rozrostu, że słuchacze zaczęli żartobliwie mówić o "uniwersytecie griazowieckim." Ten przejaw samorzutnej żywotności umysłowej, zarówno u słuchaczy, jak i u wykładowców, przejaw wyrosły w warunkach tak niezwykłych, jakim był obóz jeńców, zasługuje chyba na zanotowanie. Rozpoczynając pracę w Griazowcu, świadomi byliśmy tego, że wpleceni jesteśmy jako ogniwo w łańcuch dawnej tradycji polskiej, gdy los rzucał na te same ziemie uczestników powstań 30-go i 63-go roku.

Praca wykładowa została zorganizowana planowo w postaci kursów naukowych, prowadzonych za zgodą władz obozu. Program tych kursów jednak musiał być zatwierdzany przez te władze. Istniał tam sowiecki referat kulturalno-oświatowy, który zajmował się tymi sprawami.

—Z jakich dziedzin udało się tam zorganizować wykłady?

—Przede wszystkim zorganizowaliśmy tam systematyczne wykłady z medycyny dla młodych lekarzy; prowadzone były kursy specjalne z poszczególnych działów medycyny: z chirurgii (Doc. Szarecki), z dermatologii (prof. Straszyński); na te kursy, prowadzone na najwyższym poziomie przez specjalistów, uczęszczało około 40 lekarzy, którzy mieli możność w ten sposób pogłębienia i rozszerzenia zakresu swoich wiadomości. Mieliśmy też wykłady z biologii (prof. Gutowski), z architektury (prof. Sienicki), z historii malarstwa (p. J. Hutten-Czapski), z historii kultury (ks. Kantak z Pińskiego Seminarium Duchownego) i szeregu innych. Wykłady z tych wszystkich dziedzin prowadzone były na poziomie wyższym dla specjalistów, oraz w postaci ogólno-kształcących wykładów popularnych dla szerszego ogółu; wykłady te cieszyły się znaczną frekwencją.

—A czy były wykłady również z dziedziny nauk społecznych i prawnych?

—Niestety, na te wykłady nie uzyskano zezwolenia władz obozu; podawano jako powód odmowy fakt, że wykłady z tych dziedzin nie są potrzebne, gdyż są prowadzone przez politruków na kursach komunistycznych w obozie; kursy te nie były obowiązkowe i miały bardzo małą frekwencję. Natomiast dozwolone były kursy języków obcych i te, zwłaszcza języka angielskiego, cieszyły się dużą frekwencją. Uzyskano tam też pozwolenie na sprowadzanie książek do 14 kilogramów na miesiąc, oraz na abonowanie czasopism naukowych z Moskwy. Obóz otrzymał też specjalny miesięczny przydział papieru—co prawda w ilości w wysokim stopniu nie wystarczającej na nasze potrzeby. W rzadkich przypadkach, niektórzy z kolegów naszych zdołali nawet oprócz pracy pedagogicznej kontynuować w niewoli i swą pracę naukowo-badawczą. Było to n.p. możliwe dla Dra Felsztyna, który pracował nad matematyką; słowem—praca umysłowa wrzała na naszym "Uniwersytecie Griazowieckim."

Żegnamy prof. Komarnickiego, dziękując mu za interesujące szczegóły z życia naszych jeńców. I tutaj, jak wielokrotnie już poprzednio, podziwiać musimy zarówno polską żywotność duchową, która zdolna jest przetrwać w najtrudniejszych warunkach, jak i zmysł organizacyjny, który przez uparty wysiłek woli zdołał stworzyć ten jedyny w swoim rodzaju ośrodek pracy kulturalno-oświatowej i naukowej.

Maria Skalińska

LIST DO MATKI

Dziś Matko strząsam z siebie dni minionych ciężar
i z nurtu mrocznej rzeki wychodzę na brzegi . . .
Na rozkaz czekam. Serce radością się spręża,
w sztandarach znów wypłynie Orzeł nad szeregi.

I wszystkie sny młodzieńcze, wszystkie sny skrzydlate
zagarniam dzisiaj w dłonie, w stal przerobię twardą,
swój dług i swą powinność Jutro wreszcie spłacę,
gdy w pole wyjdę znowu—pójdę mocno, hardo!

Wiem, Ty cieszysz się Matko, uśmiech ślesz mi drogi,
z nim razem pójdę walczyć o sprawę Najświętszą,
zapału huraganem zetrę wszystkie progi,
rozerwę je na drzazgi, gdy się tylko spiętrzą!

Pójdziemy, weźmiem odwet za Was, za miliony,
przysięgam Ci, że pomszczę Twe łzy i cierpienia;
już słyszę jak wołają nas serc Waszych dzwony,
Słuchajcie! Już idziemy! Zaczyna drgać ziemia!

Przejdziemy poprzez bitew oszalałe wiry,
przyniesiem Wam zwycięstwo, na spotkanie wstańcie.
Zerwiemy naszą pieśnią żałobne Wam kiry
i rzucimy nad głowy Orły w amarancie!

Wtedy Matko dopiero wezmę Cię w ramiona
i ciche łzy osuszę w Twych oczach stęsknionych
i duma Cię ogarnie i radość szalona,
żem z tych, co wolność nieśli w bagnetach skrwawionych.

A gdy nie wrócę Matko,—to bądź tylko dumna,
że wieńców swych nie miałem, pogrzebu, ni kwiatów,
że grobem mym nie była wśród świec lśniąca trumna,
ale ziemia wilgotna od krwi mej szkarłatu . . .

I nie płacz, nie rozpaczaj, widać było trzeba.
Pójdź dalej z mym wspomnieniem, choć krwawa to blizna
i może mnie zobaczysz gdzieś w błękicie nieba . . .
—Pamiętaj, pierwszą Matką jest dla mnie Ojczyzna!

Janusz Wedow

Griazowiec 11.VIII.41.

Syzyf zwycięża . . .

Od własnego korespondenta "Polski Walczącej" w Rosji

Wszystko naraz przypomina się tutaj—za Wołgą, gdzie na nowo podjęty jest trud zorganizowania Polskiej Siły Zbrojnej. Przypominają się okoliczności powstawania I Korpusu Wschodniego, bo i otoczenie podobne i błoto takie same i trudności. . . Przypomina się i rok 1918, bo to co powstaje, tworzy się ze szczątków i odprysków. Braki ekwipunku, uzbrojenia i żywności żywo nasuwają wyobraźni pierwsze okresy powstawania Armii Polskiej we Francji. O Szkocji myślimy, patrząc na szeregi białych namiotów, w których tu trzeba mieszkać.

Ale w I Korpusie Wschodnim ludzie byli zdrowi i dobrze odżywieni, nim powołano ich do polskich szeregów. Ale w listopadzie 1918 broń była do wzięcia u nieprzyjaciela. Ale, we Francji, nie brakowało wina, no i nadziei szybkiego a pomyślnego przebiegu wydarzeń. Ale w tej Szkocji miało się—i herbaciarnie, i bary, i koców co nie miara, i ekwipunek doskonały, i ciepło. . . itd.

A tutaj o żadnym z tych urozmaiceń czy udogodnień mowy nie ma. Polska Siła Zbrojna na terenie Rosji rodzi się wśród wielkich trudności i na tle cierpień milionowej rzeszy polskich przymusowych wychodźców i skazańców. Polskie obozy nadwołżańskie są pierwszymi zorganizowanymi komórkami pośród bezładnie przelewającej się masy Polaków. Te nasze pierwsze ośrodki wchłonęły już—co były w stanie wchłonąć.

Ciężki głaz nadludzkiego zadania, obejmującego mnóstwo dziedzin życia społecznego, a przede wszystkim wszystkie potrzeby wojskowe i wielorakie względy polityczne i strategiczne —zaczyna się zwolna i opornie toczyć pod górę .

Może—tym razem—uda się. . .

* * *

Jedna wielka jednostka już posiada broń. Tydzień temu spadł śnieg, później znów się ociepliło. Od tych i wielu innych jeszcze momentów zależą nastroje. Najwięcej—od ilości dostarczonego pożywienia. Jedynymi niciami komunikacyjnymi na tych stepach niezmiernych są tory kolejowe, oczywiście przeładowane transportami wojennymi i uchodźcami i powracającymi z obozów pracy. Dlatego każdy dzień następny, jest pod znakiem zapytania.

Na szczęście troski omraczają tylko twarze dowódców. "Wiara" jest beztroska po żołniersku i poza służbą widzi jeden cel: odbić sobie długie posty i powetować niedobór energii. Wyprawy żołnierskie do odległych o 30 i więcej kilometrów kołchozów nazywane tu są powszechnie "desantami" albo "kosiarzami." Odbywa się to piechotą. Przynosi się z tego po całonocnym marszu worki chleba i gary masła /zwykle ukręconego przez samych żołnierzy/. Przypędza się podeszłe wiekiem krowy. Nazajutrz unosi się dookoła namiotu zapach pieczonego jadła, a starszyzna podoficerska jest szczególnie optymistyczna dzięki nowym zapasom gorzałki.

To zupełnie co innego, niż zwiedzanie St. Malo, albo uroczego St. Andrews . . .

* * *

Opowiadam tysiącom żołnierzy o tym, co zdziałał dla Ojczyzny lotnik i marynarz polski. O walkach we Francji, o Narviku, o postawie polskiego żołnierza w Szkocji. O tym, jak każdy oficer i szeregowy przyłożył swoją cegiełkę do dzieła, któremu na imię Polska i opinia o Niej.

Kiedy tak mówię o sprawach prostych i znanych, co raz to któryś ze słuchaczy pociągnie nosem albo zwyczajnie zapłacze.

Brat-żołnierz chce wiedzieć wszystko o bracie-żołnierzu. Bardzo rzadko napotkałem zazdrość, większość cieszy się, że ciężki los był udziałem nie wszystkich Polaków. Olbrzymia większość z dumą i satysfakcją słucha niebywałej dla tutejszych słuchaczy historii polskiej na Zachodzie. Przez lata całe nie było tu żadnych wiadomości.

* * *

Sprawa surowej zimy stoi jeszcze otwarta. Wyżywienie będzie wszędzie i dla wszystkich niełatwe. Gdyby umowa polsko-rosyjska nie była zawarta, to zimy nie przetrzymałaby trzecia część Polaków, którzy byli na robotach rosyjskich. Teraz oczekujemy koniecznej pomocy z zachodu czy z Indii.

* * *

Widziałem malutka kapliczkę, w której ksiądz kapelan Tyczkowski odprawia msze żołnierskie. Przybory liturgiczne wykonali sami żołnierze. Są tam krucyfiksy, misternie rzeźbione w drzewie lub kości wołowej. Są komunikanty, wyrobione na miejscu. Są ornaty z koszul jedwabnych, pięknie wyhaftowanych w obozach przez żołnierzy. Są kielichy, wykute z łyżki srebrnej. Bardzo wielu powróciło tu do praktyki wiary pierwszych Chrześcijan.

Żołnierze wszystkich stopni wszystko mieli odbierane i wszystko na nowo sami sobie majstrowali. Oglądam bardzo piękne scyzoryki, wykonane ze starego resoru i bardzo ozdobne, inkrustowane symbolami narodowymi papierośnice, portfele, szkatułki. Generał X pokazywał mi walizkę własnej roboty, a rzeźbione w marmurze szachy są doprawdy unikatem jedynym w swoim rodzaju. Są wyroby z włosia, ze starego guzika, ze znalezionej kości, z chleba, z niczego. Niewola wyzwoliła wielu artystów. Mnóstwo pięknych postaci przeprowadziło masy przez zasadzki i wykroty niewoli.

* * *

Pomimo chłodu i głodu, żołnierze, którzy dostali się do szeregów, są szczęśliwi.

—Nic gorszego nas już spotkać nie może!—mówią.

—Aby wśród swoich i we własnym szeregu!—słyszę ciągle.

Polska—taka jaka była—wydaje się każdemu rajem utraconym. Guzik z orzełkiem jest tu relikwią. Formułowanie oddziałów przychodzi z niesłychaną łatwością. Nikt się nie wymądrza. Wiele można zbudować na tym ogniu poświęcenia i na tych sercach!

* * *

Pomimo wszystko co było i pomimo niepewności jutra—żołnierz jest rad i pełen nadziei. Ćwiczenia idą ostrym tempem. Obozy huczą ruchem. Łazikowanie przestało być zjawiskiem znanym, dezercja nie istnieje. Z polskich szeregów nikt nie ma ochoty wyjść. Do wojska garną się wszyscy, nawet "ślepce i kaleki." Ci którzy absolutnie nie nadają się do służby, kierowani są do hufców pracy, ewentualnie do kołchozów, a to na podstawie specjalnych umów zbiorowych.

Żeby przetrwać zimę, trzeba zbudować domy lub ziemlanki, żeby je zbudować—trzeba toporów i łopat, żeby je mieć, trzeba często je zrobić. Roboty jest mnóstwo!

Prasa obozowa już jest czynna. Brak papieru ogranicza ją do gazetek ściennych i dzienników czytanych. 5. Dywizja Piechoty wystartowała pismem ściennym p.t. "W marszu." Zaraz po nadejściu polowej drukarni zacznie wychodzić pismo p.t. "Orzeł Biały."

A oto tytuły żołnierskich rewii i piosenek: "Wracamy do kraju," "Niech żyje nasza Armia," "Marsz Polaków," "My Legiony." . . .

Świetliczarki już funkcjonują. Sanitariuszki również. Te przeciążone są pracą. Chorych mnóstwo. W gospodarce i administracji wojskowej, w opiece społecznej pracuje wiele kobiet, wyrwanych z warunków bardzo ciężkich.

Już dziesiątki tysięcy ramion podparło głaz Syzyfa, wiecznej służby polskiej. Droga daleka i stroma. Do szczytów dojście jakże ciężkie! I każdy ma nadzieję, że tym razem przewalimy straszliwe brzemię na tamtą stronę . Wierzymy, że tam jest koniec wędrówki—Polska.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz



Reprodukcja pierwszego pisma polskiego, jakie zaczęło ukazywać się na terenie Rosji Sowieckiej. Jest to gazetka ścienna 5 Dywizji Piechoty. Rozmiary oryginału przekraczają cztery strony "rozkładowe" naszego tygodnika. Cała gazetka jest wykonana ręcznie tuszem, farbami wodnymi, atramentem i miękkim ołówkiem. Jest dziełem wzruszającej pracowitości i entuzjazmu, że można znowu pisać o polskich sprawach własnym językiem.

W swojej treści zawiera ona przegląd prasy polskiej, jaka zdołała dotrzeć do Z.S.R.R. Rzuca się w oczy dążność do wyrażenia łączności z nami, którzy nosimy ten sam mundur żołnierski, służymy tej samej, co oni, sprawie na wyspach W. Brytanii. Jesteśmy szczęśliwi, że "Polska Walcząca," nie tylko doszła sama do rąk naszych kolegów w Rosji, ale stała się—przez nr. 31—pośrednikiem w przekazaniu podobizn pism I-ej Brygady.

MODLITWA

Żeś w dusze nasze wpoił hart i męstwo
i krzepił wiarę w rychłe zmartwychwstanie
i w świętość sprawy i pewne zwycięstwo,
dzięki Ci Panie!

Żeś dawał sercom naszym skarb otuchy,
nadziei jasnej roztoczył świtanie,
żeś zbierał ciche naszych słów okruchy,
dzięki Ci Panie!

Żeś chronił ciągle nas Swoją opieką,
łzy nam ocierał i tłumił szlochanie,
wargi spieczone łaski poił rzeką,
dzięki Ci Panie!

Żeś leczył rany i goił nam blizny,
żeś poszedł z nami razem na wygnanie,
żeś palił w sercach nam miłość Ojczyzny,
dzięki Ci Panie!

Żeś nowe Jutro nam dzisiaj otworzył,
i wielkie dałeś nam w dłonie zadanie,
żeś tęczę znowu wolności nam stworzył,
dzięki Ci Panie!

Prowadź nas dalej, osłaniaj ramieniem,
spraw, niechaj każdy godnie celu stanie.
—by serca jednym zabiły nam drgnieniem
prosim Cię Panie! . . .

Błogosław nasze wojskowe szeregi
i daj nam w walce męstwo i wytrwanie.
Po wojny wirach wyrzuć nas na brzegi,
prosim Cię Panie! . . .

Spraw, by do kraju powiodła ta droga
przez świętej walki zdradliwe otchłanie,
zniszczyć naszego i Twego daj wroga,
prosim Cię Panie! . . .

Daruj nam wszystkie słabości i winy,
zwycięstwem natchnij surm bojowych granie
i kraj nasz wolny, gdy wrócim—rodziny
błogosław Panie! . . .

Janusz Wedow

Griazowiec, 10.VIII.1941.

Wojna na morzu

TYDZIEŃ DONIOSŁYCH WYDARZEŃ

Tydzień od 8 listopada do 15 listopada b.r. obfitował w doniosłe wydarzenia zarówno na morzu, jak i w światowej polityce morskiej. Gwałtowna ofensywa brytyjska na Morzu Śródziemnym, uchwalenie przez Kongres U.S.A. zmiany "Prawa o neutralności," dzięki której uzbrojone statki amerykańskie i całe konwoje będą docierały aż do portów brytyjskich i rosyjskich, wielka mowa Churchilla w parlamencie brytyjskim, z której dowiedzieliśmy się jakie są dotychczasowe wyniki "Bitwy o Atlantyk," ruchy floty japońskiej na Oceanie Spokojnym, ostrzeżenie dane Japonii przez Wielką Brytanię, strata dwu sławnych i dzielnych okrętów brytyjskich /H.M.S. "Ark-Royal" i H.M.S. "Cossack"/, forsowanie przez Niemców na Krymie cieśniny Kercz—to wszystko długi łańcuch wydarzeń pomyślnych i niepomyślnych, które zapełniły dni tego "ożywionego" tygodnia.

POSZERZENIE WYŁOMU W "PRAWIE O NEUTRALNOŚCI"

Pomimo wewnętrznych trudności, które piętrzą się przed prezydentem Rooseveltem, pomimo powolności amerykańskich ciał ustawodawczych, Ameryka stale i konsekwentnie zbliża się do wojny. Cień Stanów Zjednoczonych kładzie się już w co raz szerszym zasięgu na Atlantyk i na "Bitwę o Atlantyk." Pomimo olbrzymiego wysiłku propagandy niemieckiej, pomimo kreciej roboty izolacjonistów amerykańskich, Kongres Amerykański zdobył się jednak wreszcie na ową historyczną decyzję i 212 głosami przeciw 194 głosom uchwalił w pełni żądania Roosevelta.

W ten sposób, w ciągu mniej więcej miesiąca, bandera gwiaździsta U.S.A. pojawi się w portach Wielkiej Brytanii i Rosji. Statki amerykańskie będą uzbrojone w działa najnowszego typu, i obsługiwane przez artylerzystów amerykańskiej marynarki wojennej, od dawna ćwiczonych do tej pracy na transportowcach. W najbliższym czasie już około 100 statków amerykańskich wyruszy w pierwszą podróż, a niebawem dalsze 400 statków będzie uzbrojonych i gotowych do tej służby. Poza tym Admiralicja U.S.A. uzbroiła i przerobiła najszybsze z amerykańskich statków pasażerskich na "krążowniki pomocnicze," które będą spełniały rolę pomocniczą przy eskortowaniu nowych, wyłącznie amerykańskich konwojów, wiozących broń, czołgi i samoloty do Wielkiej Brytanii.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że w "Bitwie o Atlantyk" jedną z największych trudności jest brak dostatecznej ilości wyszkolonych marynarzy i personelu maszynowego, jeżeli weźmiemy pod uwagę ile trudu i wysiłków kosztowało wysyłanie statków angielskich do Stanów Zjednoczonych po każdy amerykański transport, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że brytyjska flota handlowa ma poza tym olbrzymie jeszcze zadania do spełnienia, zrozumiemy dokładnie, jak wielkie znaczenie posiada uchwalone przez Kongres prawo i jak potężne będzie miało następstwa. . . . Samo poprzednie skrócenie drogi ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii przez objęcie przez U.S.A. odcinka drogi do Islandii było dla sprzymierzonych ogromną już ulgą. Co zaś mówić obecnie, gdy nie tylko droga się skróciła, ale same transporty amerykańskie będą przybywały bezpośrednio do portów i to pod eskortą amerykańskich okrętów wojennych.

Niemcy przez radio berlińskie ze zwykłą sobie "zręcznością" rozpoczęli już odgrażanie się, że statki te i transporty amerykańskie będą przez niemieckie okręty podwodne i samoloty traktowane tak samo jak statki i transporty nieprzyjacielskie. "Nikt nie zdoła przerwać naszej blokady."

BITWA O ATLANTYK W ŚWIETLE MOWY CHURCHILLA

Tymczasem znakomita, jak zawsze, skupiona, poważna i udokumentowana mowa Churchilla, wygłoszona w dniu 12 listopada na otwarciu parlamentu, zawiera tego rodzaju ustępy, że należy uznać, iż to "przerwanie blokady" jest już faktem dokonanym. W żmudnej i niezmiernie długiej bitwie o linie komunikacyjne na Atlantyku, w bitwie, obfitującej w nieprzebraną moc fragmentów i epizodów o najróżniejszym wyniku: pomyślnym, znakomitym, niepomyślnym i często gęsto tragicznym, tylko tego rodzaju mowa człowieka, u którego zbiegają się wszystkie wiadomości i wszystkie zestawienia, może dać prawdziwy obraz rzeczywistości, może dać właściwy pogląd na przebieg wydarzeń i może podsumować tych wydarzeń rezultaty.

Z mowy Churchilla wynika tedy jasno, że w ciągu czterech miesięcy do czerwca 1941 r. sprzymierzeni stracili na Atlantyku 2,000,000 tonn, gdy w ciągu następnych czterech miesięcy, do października b.r. już tylko 750,000 tonn. Razem zaś z nowowybudowanymi statkami, czy też razem z otrzymanymi od Ameryki, straty te zmniejszają się o więcej niż cztery piąte.

". . . *Taki rezultat* — mówił Churchill—*został osiągnięty pomimo, że nigdy dotąd nie było tak dużo nieprzyjacielskich okrętów podwodnych i samolotów dalekosiężnych jak właśnie w tych miesiącach i obecnie. Ten fakt powinien jeszcze bardziej wzmocnić nasz wysiłek . . . Musimy być zdolni nie tylko do dalszych zwycięstw, lecz musimy być zdolni do właściwego zabezpieczenia wielkiego ruchu morskiego, który powstanie, gdy amerykański program budowy statków zrealizuje się i wejdzie w życie w r. 1942. Nasz wysiłek budowy okrętów jest w prostym stosunku do naszych możliwości, lecz możliwości Stanów Zjednoczonych są bez porównania większe i przewyższają ogromne i zadziwiające rezultaty z poprzedniej wojny.*

"*Jeśli przebrniemy szczęśliwie rok bieżący, w r. 1942 będziemy dobrze zaopatrywani okrętami i statkami wszelkiego rodzaju. Jeśli zaś wojna przeciw okrętom podwodnym i samolotom dalekosiężnym będzie nadal tak skuteczna jak dotychczas,—co oczywiście nie może być zagwarantowane—to w r. 1943 Wielka Brytania będzie mogła przeprowadzać wszelkie operacje zamorskie w skali daleko przekraczającej obecne nasze wysiłki.*"

"*Nie należy też zapominać*—ciągnął Churchill—*że w tej bitwie nieprzyjaciel poniósł też straty, które proporcjonalnie przewyższają nasze, a które ostatnio nabrały specjalnie wielkiego nasilenia. W ciągu czterech miesięcy, do października, nieprzyjaciel stracił w statkach zatopionych, czy też poważnie uszkodzonych około 1,000,000 tonn . . . Szczególnie silne straty zostały zadane nieprzyjacielowi na Morzu Śródziemnym i mamy na to dowody, że w ogóle jest mu niesłychanie trudno zaopatrywać, czy wzmacniać wojska na wybrzeżu afrykańskim.*"

OFENSYWA MORSKA NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

W dniu, poprzedzającym mowę Churchilla, nadeszły dobre wieści z Morza Śródziemnego. Jako uwieńczenie długiej akcji, w której konwoje włosko-niemieckie traciły przeciętnie 3/5 swego stanu, brytyjska flota Morza Śródziemnego dokonała jeszcze jednego czynu, który będzie należał do najświetniejszych kart jej historii.

Dwa krążowniki brytyjskie /H.M.S. "Aurora" i H.M.S. "Penelope"—budowa 1935, 36 r.; 5,270 tonn; 32 węzły szybk. 450 ludzi załogi; 6 dział 6 calowych, 8 dział 4 calowych p.l./ w towarzystwie dwu kontrtorpedowców klasy "Jervis," pod dowództwem komandora /"captain"/ Agnew, natknęły się w zatoce Taranto o godzinie 1 w nocy na dwa włoskie konwoje, składające się z 10 statków łącznie, eskortowanych przez 2 krążowniki klasy Trento /budowa 1926,27 r.; 10,000 tonn; 35 węzłów szybk.; 723 ludzi załogi, 8 dział 8 calowych, 12 dział 3,9 cal. i t.d./ oraz przez większą ilość kontrtorpedowców.

Pomimo widocznej przewagi, komandor Agnew bezzwłocznie zaatakował Włochów. 9 z 10 nieprzyjacielskich statków transportowych stanęło w płomieniach i zatonęło. Jeden z tych statków był załadowany amunicją i wyleciał w powietrze. Dziesiąty statek, 10,000 tonnowy tank na ropę, zapalił się gwałtownie i w 10 godzin później widziano go jeszcze w płomieniach. Jak doniosły późniejsze raporty i ten statek zatonął. Z nieprzyjacielskich okrętów wojennych w pierwszych chwilach walki zatonął jeden kontrtorpedowiec. Drugi i trzeci zostały poważnie uszkodzone. Rankiem następnego dnia samoloty zwiadowcze widziały jeszcze jeden kontrtorpedowiec, holowany w kierunku bazy w Taranto. Oba włoskie krążowniki, pomimo przewagi w uzbrojeniu i w szybkości, "oddaliły" się z placu boju.

Zaraz następnego dnia brytyjskim i sprzymierzonym okrętom podwodnym udało się storpedować i zatopić . . . jeszcze dwa dalsze kontrtorpedowce włoskie. . . . Statków transportowych w tej bitwie zatopiono Włochom 55,000 tonn. Ciekawe, że stwierdzono, wyławiając z wody pewną ilość rozbitków, iż na statkach tych załoga składała się prawie wyłącznie z . . . Niemców.

Nie dość tego! W dniach 9, 10 i 11 listopada na Morzu Śródziemnym, prócz transportów zniszczonych przez komandora Agnew, okręty podwodne sprzymierzonych zatopiły: 4 duże statki z wojskiem, 2 statki żaglowe i 1 "krążownik pomocniczy." Poza tym 2 uzbrojone statki handlowe i 2 transportowce zostały poważnie uszkodzone . . . Jeden z pomocniczych krążowników—to statek pasażerski około 8,000 tonn, drugi zaś /Citta di Palermo/ 5,000 tonn.

W obu tych akcjach na Morzu Śródziemnym Brytyjczycy nie ponieśli żadnych strat. Jest to tym dziwniejsze, że w drugiej bitwie pod Taranto przeciw 2 słabszym brytyjskim krążownikom i 2 kontrtorpedowcom, Włosi rozporządzali 2 silniejszymi krążownikami i, jak doniosły ostatnie raporty, najmniej 6 kontrtorpedowcami.

"GDZIE DRWA RĄBIĄ TAM I WIÓRY LECĄ"

Jednakże w innym miejscu Morza Śródziemnego musieli Brytyjczycy ciężko okupić zwycięstwa komandora Agnew. Trafiony niespodzianą torpedą okrętu podwodnego zatonął sławny lotniskowiec brytyjski H.M.S. "Ark Royal" /22,000 tonn; 1,575 ludzi załogi; 72 samoloty; 30 węzłów szybk.; potężne uzbrojenie p.l./.

Jak już "Polska Walcząca" parokrotnie pisała, "Ark Royal" był wiele razy "zatapiany" przez niemiecką propagandę, a jeden z niemieckich pilotów otrzymał nawet, mniej więcej rok temu, odznaczenie za "zatopienie lotniskowca Ark Royal," co sam Goebbels ogłosił w jednym ze swoich przemówień radiowych. Ale legendarny "Ark Royal" walczył wciąż i nie było niemal działania floty brytyjskiej, w którym nie byłoby tego wspaniałego okrętu. Może najdonioślejszym jego czynem było wyśledzenie "Bismarcka" podczas jednego z trzech "zagubień się" niemieckiego olbrzyma i wpakowanie mu przez pilotów z "Ark Royal" paru torped, które znacznie zmniejszyły jego zdolność poruszania się. Ale "Ark Royal" brał również chlubny udział w "przyciśnięciu do muru" samobójczego "Grafa Spee," w bitwach u brzegów Norwegii i w niezliczonych walkach z Włochami na Morzu Śródziemnym.

Wielki smutek, który ogarnął naród brytyjski i wszystkich jego przyjaciół z powodu niespodziewanej straty, zmniejszony jest pomyślną wiadomością, że ogromna większość załogi lotniskowca jest cała i zdrowa. Wiadomo już z całą pewnością, że z załogi "Ark Royal" zginął tylko jeden marynarz. Również większość samolotów zdołano uratować.

Śmierć "Ark Royal" była nie mniej dzielna jak życie tego okrętu. Śmiertelnie trafiony w ciemnościach nocnych, walczył jeszcze z zalewającym go żywiołem z górą 12 godzin. Większość załogi zabrały na swe pokłady eskortujące kontrtorpedowce, a dowódca "Ark Royal" wraz z pewną częścią załogi próbowali doprowadzić ciężko uszkodzony statek do portu. Udało im się nawet przez czas pewien prowadzić okręt w pożądanym kierunku, pomimo potwornego przechyłu i wody, opanowującej gródź za grodzią. Niestety jednak wszystkie te bohaterskie wysiłki, w których marynarze brytyjscy narażali się na pewną śmierć, spełzły na niczym i nad ranem dnia następnego, niedaleko Gibraltaru, lotniskowiec zatonął. "Ark Royal" jest trzecim z kolei lotniskowcem, straconym przez Wielką Brytanię podczas obecnej wojny /"Courageous" był storpedowany we wrześniu 1939 roku, a "Glorious" zginął w walce z "Scharnhorst" i "Gneisenau" u brzegów Norwegii w czerwcu 1940 roku/.

Obecnie pozostało Brytyjczykom "jeszcze" 8 lotniskowców, z których 4 /"Illustrious," "Victorious," "Formidable" i "Indomitable"/, każdy po 23,000 tonn, to okręty większe i nowsze /1940-41/ od "Ark Royal," a 4 /"Furious," "Eagle," "Hermes" i "Argus/ dużo starsze /1916-19/.

Trochę cyniczne, ale niestety prawdziwe nasze przysłowie: "gdzie drwa rąbią—tam i wióry lecą" może specjalnie właśnie w tym tygodniu dowiodło swojej słuszności. Zginął bowiem również jeden z najsławniejszych kontrtorpedowców brytyjskich H.M.S. "Cossack." Admirał Vian, bohaterski admirał Vian, były dowódca "Cossack'a" nosi nawet tytuł, nadany mu spontanicznie przez flotę, "*Earl of Cossack*"—książę z "Cossacka."

Pierwszym czynem kontrtorpedowca, którym się wsławił na zawsze, było wzięcie abordażem dużego statku niemieckiego "Altmark" w jednym z ciasnych i głębokich fiordów norweskich. Marynarze brytyjscy wyzwolili wówczas kilkudziesięciu "jeńców" angielskich, kapitanów, oficerów i marynarzy statków brytyjskich i sprzymierzonych, zatopionych na Atlantyku przez rejdowce niemieckie. Ludzie ci byli traktowani w sposób nieludzki na owym pływającym więzieniu.

Później ten sam "Cossack" był jednym z kilku kontrtorpedowców brytyjskich, które pod osłoną ognia z "Warspite" wdarły się do Fiordu Narvik i sprawiły 11 kontrtorpedowcom niemieckim łaźnię. Z tych czasów znali doskonale "Cossacka" polscy marynarze z "Gromu," "Błyskawicy" i "Burzy." Później niejednokrotnie w komunikatach Admiralicji Brytyjskiej imię kontrtorpedowca wypływało przy rozmaitych okazjach. Nie brakło go nawet w akcji przeciw "Bismarckowi" w eskadrze k.t.z "Zulu," "Afridi" i z "Piorunem."

CZY BITWA POMIĘDZY OKRĘTAMI U.S.A., A NIEMCAMI?

Na tle tych wieści z Oceanu i na tle podniecenia jakie powstało w Ameryce po uchwaleniu zmiany "Prawa o neutralności" rozeszły się po świecie przeróżne wieści o pierwszych starciach między marynarką Stanów Zjednoczonych, a niemieckimi okrętami podwodnymi i nadwodnymi. Prawdziwość tych, na amerykański sposób sensacyjnych, wieści dotąd jednak /17.XI./ nie została potwierdzona oficjalnie przez żadną ze stron. "*The New York Daily Mirror*" twierdzi jednak uparcie, że pomiędzy Islandią i brzegami Norwegii odbyła się "wielka bitwa" pomiędzy amerykańskimi okrętami wojennymi i niemieckimi podwodnymi i nadwodnymi rejdowcami. Kilka niemieckich okrętów podwodnych miało być zatopionych lub nawet wziętych do niewoli. Okręty amerykańskie miały również zdobyć nowy typ niemieckiego okrętu: okręt-bazę dla ścigaczy.

Te niesprawdzone wiadomości podaję dlatego, że są one bardzo charakterystyczne dla nastrojów, jakie zapanowały w Ameryce zaraz po historycznej uchwale.

DZIAŁALNOŚĆ FLOTY JAPOŃSKIEJ

Wszystko to jednak nie przysłoniło niebezpieczeństwa na dalekim Wschodzie. Zachowanie Japończyków jest nadal bardzo prowokacyjne. Jak donoszą źródła chińskie, wielkie transporty wojsk japońskich przybyły do Północnych Indochin, a ogromna ilość okrętów wojennych i statków transportowych została nagromadzona w portach tej "francuskiej" kolonii.

Jest rzeczą prawie pewną, że ponad 140 okrętów wojennych i statków zostało zmasowanych na wyspach Hoihow, Hainan naprzeciw Indochin. Więcej niż 100 statków, przebywających w Hoihow to są statki przystosowane do transportu wojska.

Duże siły floty japońskiej były również zauważone niedaleko wybrzeży Kwantung pomiędzy Rzeką Pereł i Hainan. Okręty te prawdopodobnie ubezpieczają transporty wojska, przedsiębrane na wielką skalę. Około 60,000 żołnierzy japońskich już przybyło do północnych Indochin.

OSTRZEŻENIE CHURCHILLA

Wielka Brytania i Stany Zjednoczone są, zdaje się, przygotowane na wszelką ewentualność ze strony "Japsów." W mowie, poprzedzającej przemówienie parlamentarne, a wypowiedzianej w dniu wyboru nowego Lorda Mayora Londynu, Churchill rzucił doniosłe ostrzeżenie pod adresem Japonii:

"—. . . *Dzięki skutecznej pomocy Stanów Zjednoczonych na Atlantyku, wobec zatopienia "Bismarcka," wobec objęcia służby przez nowe brytyjskie okręty liniowe i nowe lotniskowce—jesteśmy w możności wysłać na Ocean Indyjski i na Ocean Spokojny dostatecznie silną flotę, jeżeli tego zajdzie potrzeba. Uważam za swój obowiązek oświadczyć, że jeżeli Stany Zjednoczone będą wciągnięte do wojny przez Japonię, wypowiedzenie wojny Japonii przez Wielką Brytanię nastąpi w ciągu godziny.*"

CO BĘDZIE Z MORZEM CZARNYM?

Tymczasem na lądzie walki w Rosji trwają z niesłabnącą siłą, choć zmieniają miejsca swego największego nasilenia. W dniu, w którym piszę te słowa, bolszewicy przyznają już, że Sebastopol, znajdujący się pod nieustannym ogniem dział niemieckich i bombardowany bez przerwy z powietrza, nie może być już uważany za bazę morską dla okrętów wojennych. Jednocześnie Niemcy zmasowali wielkie siły na przylądku Kercz i zdaje się będą forsowali wąską cieśninę, oddzielającą ten przylądek od wielkiego lądu, a tym samym znajdą się u stóp Kaukazu. Bolszewikom zostają jeszcze małe porty na wybrzeżu kaukazkim o wątpliwej wartości jako bazy . . . Jak zareaguje Turcja i co się stanie z Morzem Czarnym—oto pytania, na które dotąd trudno znaleźć odpowiedź.

NOWY OKRĘT PODWODNY POLSKIEJ MARYNARKI WOJENNEJ

Gazety północno-amerykańskie doniosły:

"*Komandor /Captain/ Elwin Cutts, dowódca bazy okrętów podwodnych w New London /Connecticut/ U.S.A. doniósł wczoraj /3.XI.1941 r./, że odbyła się w bazie jego ceremonia przekazania Brytyjskiej Marynarce Wojennej okrętu podwodnego klasy "R" /600 tonn, budowa 1919 r./ i Polskiej Marynarce Wojennej okrętu podwodnego klasy "S" /około 800 tonn, rok budowy 1923/.*"

"*Są to pierwsze okręty podwodne przekazane na podstawie prawa Lease-Lend. Polscy i brytyjscy marynarze spędzili dłuższy okres czasu w New London, zapoznając się z urządzeniami na identycznych okrętach podwodnych, gdy ich nowe okręty poddane były gruntownemu przeglądowi.*" . . .

POLSKI WÓDZ NACZELNY NA MALCIE ODWIEDZA POLSKIE OKRĘTY

Angielskie gazety doniosły, że podczas pobytu na Malcie Generał Sikorski odwiedził "pokłady polskich okrętów wojennych," rozdzielając szereg dekoracji bojowych marynarzom.

Nie brak nas nigdzie w tych wielkich i straszliwych zmaganiach potęg świata.

Londyn, 17 listopada 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

W rocznicę zgonu

poległych śmiercią marynarza

Kapitana m/s "Piłsudski"

MAMERTA STANKIEWICZA

i

Komandora—Porucznika

Dyplomowanego

ROMANA STANKIEWICZA

o godz. 9 w dniu 26.XI. b.r.,

w kościele Polskim przy

Devonia Road

odbędzie się za spokój ich dusz

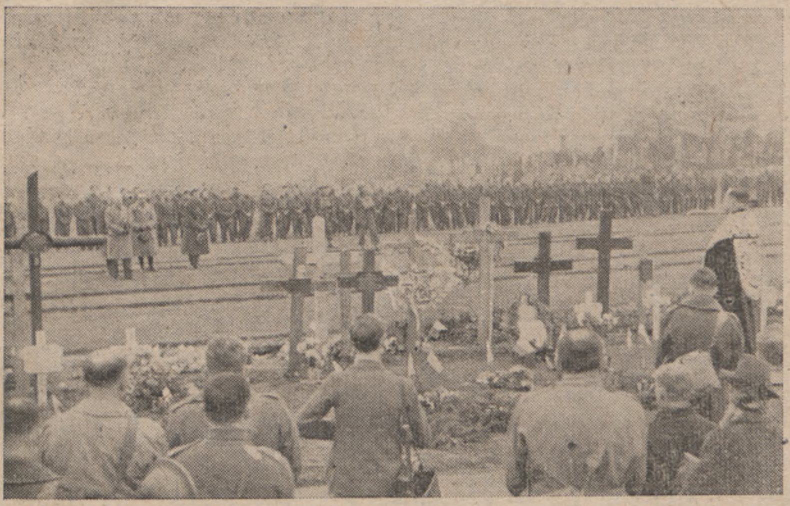
żałobna Msza Św.,

na którą zaprasza przyjaciół i znajomych

brat Jan.

Z życia obozów

Polskie Zaduszki





Smutny szkocki cmentarz: na niewielkim wzniesieniu stoją równe szeregi płyt marmurowych. Mogiłek nie ma, krzyżów także ujrzysz niewiele, niekiedy szklane klosze, przykrywające sztuczne kwiaty lub nagrobki w kształcie otwartej księgi z wyrytymi na kamiennych kartach wersetami Biblii, znaczą miejsca spoczynku zmarłych. Nie widać brzozy, rzewnej stróżki Świętej Roli a kilka ciemnozielonych cyprysów przydaje jeszcze posępnej powagi cmentarzowi na wzgórzu.

Na skraju, naprzeciw bramy wejściowej, kilkanaście krzyżyków wskazuje miejsce, w którym ziemia szkocka przygarnęła zwłoki pielgrzymów utrudzonych, którzy już do Polski nie wrócą. Krzątają się teraz na tym polskim cmentarzyku żołnierze, koledzy Zmarłych, którzy rodzimym obyczajem w Dzień Zaduszny z modlitwą przyszli na groby. Wiatr porusza zatknięte na krzyż chorągiewki biało-czerwone, skromny, ale wymowny symbol wdzięcznej pamięci ojczyzny.

Nadchodzi w zwartym szyku szwadron honorowy, przybywają delegacje wszystkich rodzajów broni i służb, staje nad mogiłami generał dowódca Korpusu, gromadzi się ludność szkocka. Pada przyciszona komenda i już rozbrzmiewa hasło Wojska Polskiego — tradycyjne powitanie żywych i hołd dla Tych, co już odeszli. W ciszy idzie dwuszereg żołnierzy z prostymi wieńcami z jedliny i składa je na grobach; wiatr szeleści chorągiewkami, chwieją się płomienie zapalonych świec. Odkrywają się głowy, zginają kolana i szept modlitwy płynie wzdłuż szeregów: "Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie."

Głos kapelana miesza się z chóralną modlitwą żołnierzy: jest cisza uroczysta. W tej ciszy wszystkie myśli, wspomnienia wyrywają się daleko poza mur cmentarny i niewstrzymane żadną siłą ulatują, odbywając pielgrzymkę do mogił naszych najbliższych w Kraju, do Tych, którzy w krwawym Wrześniu w mogile znaleźli schronienie przed niewolą, co padli później na ziemi norweskiej i francuskiej, na pustyni libijskiej . . . Prosimy o światłość wieczną i spokój wiekuisty dla dusz Tych, co przez karpackie przełęcze, przez cudze ziemie i morza szli do wolnej Ojczyzny i śmierć spotkali na swej drodze. Modlimy się za tysiące rozstrzelanych, zadręczonych w obozach koncentracyjnych, za zmarłych z nędzy i głodu na własnej ziemi i w kraju wroga. I za tych, którym nie stało kawałka ziemi na mogiłę; za tych, co spoczęli na dnie mórz i oceanów: za bohaterską załogę "Orła," za marynarzy z "Wichra" i "Gromu," za lotników, którzy nie powrócili z wypraw bojowych. Za wszystkich poległych i zmarłych w służbie Rzeczypospolitej, których imiona są sławne lub utonęły w niepamięci, ale których ofiarę przyjął Pan i policzył.

Kończy się pacierz zaduszny i dźwięk trąbek znowu się niesie przez powietrze. Może dociera aż tam, dokąd marzenie tylko dojść może? Może przenikając granice i mur niemieckiej przemocy ścieli się jako żołnierski hołd najgłębszy na gruzy Warszawy, na mogiły Kutna i Oksywia, na Rossę, na cmentarz Obrońców Lwowa? Może jako cichy, sercem słyszalny dźwięk łączy się z szeptem modłów T a m zanoszonych i płynie przed tron Najwyższego?

Umilkł głos kapłana, powstały z klęczek szeregi i zamarły w bezruchu. Generał obchodzi rząd krzyżyków żołnierskich i salutuje w ciszy skupionej. Na grobach dopalają się świece—cmentarz pustoszeje powoli. Jeszcze modli się kilku żołnierzy, jeszcze jakaś szkocka rodzina klęczy przy grobie, na którym, oprócz krzyża, położono płytę: "od szkockich przyjaciół."

Z zasłony burych chmur wydobywa się na chwilę blade, jesienne słońce i rozjaśnia posępną pustkę cmentarza. Lekki wiatr porusza chorągiewki na grobach, jakby je wszystkie chciał okryć sztandarem Rzeczypospolitej.

Henryk Delawski
zdjęcia Stanisława Rochowicza

LIST DO SZKOCKIEGO PRZYJACIELA

You asked me in your last letter
What am I thinking about the war?—While
Russia is in the fire?

I answer you—I think it is much better
my Scottish friend, dear Jack MacGuire.

Jack'u—pamiętasz?—My town—to Lwów
Miasto Orląt—Gród "Semper Fidelis"
Bombardowany przez Luftwaffe znów.—
I think it is much better—drogi przyjacielu.

Gródecka, Łyczaków, Bema, Kętrzyńskiego,
Legionów, Kopernika, Pasaż Mikolascha,

Żona, dziecko, rodzina . . . To co najdroższego
Bombardowane . . .
Jack'u, taka dola nasza . . .

. . . .

I znów dostanę list Twój, szkocki przyjacielu—
Nie będzie słów współczucia. Only at the end
You should write to me—wśród innych zdań
wielu:
Keep smiling, dear Joseph, keep smiling, my
friend . . .

Józef Wysocki

Wygrywamy z Belgami

Zawody piłkarskie Polska-Belgia

Szczelnie wypełnione trybuny otaczają plac sportowy w małym szkockim mieście. Na maszcie sztandary: Belgii, Polski i Union Jack obok szkockiego czerwonego lwa na żółtym polu. Boisko, należące do klubu II ligi ma mniejsze, niż zwykle, rozmiary i jest nieco rozmokłe, stąd w gronie kibiców padają fachowe uwagi, że na takim gruncie bezapelacyjnie wygra drużyna technicznie lepsza. Ktoś z melancholią w głosie wspomina, że "Cracovia" była specjalistką od "wygrywania na błocie", ktoś inny niepokoi się "na zapas", czy nasi gracze będą pamiętali o kardynalnej zasadzie gry na mokrym boisku: strzelania z każdej pozycji?

Przybywa dowódca brygady, powitany marszem generalskim, a w chwilę później wbiegają obie drużyny. "Brabançonne" i Mazurek Dąbrowskiego, odegrane przez orkiestrę, oraz wręczenie pamiątkowego proporczyka drużynie polskiej, dopełniają ceremonii powitania. Szkocki "kapuśniaczek", przeczekawszy cierpliwie wstępne uroczystości, zaczyna pracowicie uzupełniać zapasy wilgoci na boisku.

Po rozpoczęciu, nasi atakują i zdobywają lekką przewagę w pierwszych minutach gry. Okazuje się jednak od razu, że Belgowie są poważniejszym przeciwnikiem, niż pokonani niedawno Czesi, grają systemem długich podań przeważnie na skrzydła, startują ostro do piłki i dobrze biegają. Tempo gry jest szybkie, obaj bramkarze mają sporo roboty.

Z kolei Belgowie spychają naszą drużynę poza linię środkową, kilka dobrych strzałów broni pewnie Keller, ale przewaga drużyny gości przy końcu pierwszego kwadransa jest dość wyraźna. W 26 min. pomocnik belgijski wypuszcza skrzydłowego, który szybko podaje do środka, Keller usiłuje ratować wybiegiem, ale środkowy napastnik jest pierwszy przy piłce. Goście prowadzą 1:0.

"Zaczyna się"—mruknął złowrogo jakiś towarzysz pancerny. Na giełdzie przepowiedni papiery drużyny polskiej zniżkują gwałtownie; jakiś głos z tłumu przypomina, że w jedenastce belgijskiej gra podobno kilku "czerwonych diabłów" ze słynnej, przedwojennej reprezentacji "*Diables Rouges*", inny "spec" zapewnia, że Belgowie pokonali Holendrów i w ogóle inni alianccy piłkarze do pięt im nie dorastają. . . Tymczasem brać żołnierska na widowni, wspomagana niezgorzej przez lojalną "mniejszość" szkocką, wielkim głosem domaga się odwetu. I odwet nadchodzi.

Środek napadu prowadzi natarcie, szybka zmiana i lewoskrzydłowy strzela nieuchronnie w siatkę. Wyrównaliśmy. W drużynę polską wstępuje duch walki, wzmaga się tempo. Za chwilę nowy przebój Króla, ostry strzał, bramkarz Belgów odbija piłkę za krótko, a nasz środkowy poprawia niezawodnie. Polska prowadzi 2:1. Widownia zachęca graczy do dalszych wysiłków, szkockie *girls*, stojąc u boku polskich adoratorów, nieco piskliwie nawołują naprzemian: "*Tempo*" lub "*Shell*".

Ale i Belgowie nie kapitulują. Szybki zryw skrzydłowego odciąga naszych pomocników z pod bramki, następuje celne podanie do środka i daremny wyścig naszych obrońców z środkowym napastnikiem Belgów. Wyrównanie. Trudno! Panie i panowie: brawo dla przeciwników! Jakiś stary Szkot hałaśliwie demonstruje swoje odmienne sympatie drąc się: "*Go on, Belgium*"! Kilku stojących obok niego wyrostków wtóruje mu z uszanowaniem, ale dyskretnie. Jest to wprawdzie dawny "*rep*", ex-gwiazda szkockiego footballu czy hockeja i w ogóle wyrocznia w sprawach sportowych, ale "*Polish boys*" stoją dokoła i mogą być "*angry,*" a to niegrzecznie irytować sojuszników. I niezawsze bezpiecznie.

Na boisku zaś tymczasem triumfuje podrażniona ambicja: mały prawoskrzydłowy "Myszka", przy pomocy łącznika, objeżdża obrońców i z bliskiego dystansu przeważa szalę zwycięstwa: 3:2!

Stary Szkot jest zmartwiony, młodsi rodacy opuścili go i biją brawo szczęśliwemu strzelcowi, a otaczający towarzysze pancerni i lotnicy umyślnie wiwatują bardzo głośno. Jeszcze kilka zmiennych ataków i sędzia odgwizduje pierwszą część gry. Do głosu dochodzi teraz orkiestra brygadowa, a potem chór, śpiewający popularną piosenkę:

"*Raz, naprzód, śmiało, gdy piosnka wesoło brzmi,*
Co nam zostało w te szkockie, deszczowe dni?"

Deszczyk, który na okres przerwy zawiesił swoją działalność, znowu siąpić zaczyna, gdy gracze wychodzą na boisko. Tempo nieco opada i gra się wyrównuje, czasem niepotrzebnie staje się ostra, a dobry na ogół, szkocki sędzia nie zawsze jednak w porę miarkuje temperamenty zawodników. Najpierw opuszcza na chwilę boisko po zderzeniu jeden z graczy belgijskich, a niedługo potem Keller broniąc "nakrywką" ulega kontuzji, na szczęście niegroźnej. Stary Szkot jest zdania, że gra była zupełnie "*fair*" i bramkarz sam zawinił, co wywołuje burzę wśród otoczenia. Dobrze jednak, że wzmocniona porcja deszczu ochładza co gorętszych "kibiców".

Upływają wolno minuty, obie drużyny atakują zawzięcie, prawa strona polskiego napadu przedziera się kilkakrotnie, a w ogóle cała drużyna gra lepiej i uważniej niż przed pauzą. W pewnej chwili Belgowie uzyskują rzut wolny w "niebezpiecznej" odległości. Szkocki opozycjonista nerwowo przestępuje z nogi na nogę. Egzekutor rzutu wolnego rozpędza się potężnie . . . przeskakuje piłkę, a stojący za nim kolega strzela niespodzianie . . . w nogi obrońcy. Gorzko rozczarowany weteran piłkarstwa szkockiego wzdycha jeszcze: "*oh, too bad*" i porzuca opozycję.

Deszcz znowu ustaje na chwilę, gra się ożywia przejściowo, widownia domaga się podwyższenia wyniku lub przygaduje z lekka sędziemu. Wreszcie Czubaszek oddaje piłkę lewemu łącznikowi i popularny "doktór," ładnym strzałem pieczętuje zwycięstwo. Na widowni zupełne odprężenie. Tempo gry pod koniec znowu słabnie, ataki są nieliczne, gra toczy się przeważnie na środku boiska.

Po gwizdku końcowym jeszcze raz wzbiera fala entuzjazmu na cześć zwycięzców, uśmierzają ją jednak szybko poważne akordy brytyjskiego hymnu państwowego, którym kończą się zawody.



Ludwik Bojczuk
zdjęcie Stanisława Rochowicza

Z inicjatywy kilku moich Czytelników organizuję dzisiaj drugą premierę "Teatru Własnej Wyobraźni." Dzisiejsze słuchowisko nosić będzie tytuł: "Kłopoty starego Wiewiórki." Przypominam, że rzecz dzieje się w r. 1961 "somewhere in Poland."

Osoby akcji już znane: prof. dr. Hipolit Mól, sława naukowa krajowa i zagraniczna /były kapral W.P. w Szkocji/, dr. Zenobi Pistolet, były ppor. W.P. w Szkocji, obecnie asystent prof. Móla.

Osoby akcji, które dziś poznamy: stary Wiewiórka, były bombardier artylerii polskiej w Szkocji, obecnie emeryt, Betty z Breakfastów-Wiewiórkowa, jego żona.

*Uwaga: ich syn James Wiewiórka, urodzony w r. 1941 w Szkocji, pozostaje w chwili rozpoczęcia akcji słuchowiska w leczeniu szpitalnym z powodu niedawnego zatrucia bakcylem "Polemikomanii."**

— — — — — — — —

Bez black-outu

Jest pora popołudniowa. Pracownia naukowa prof. Móla tonie w promieniach zachodzącego słońca. W pokoju pełno książek, papierów i gazet. Jedna cała ściana od sufitu do podłogi wyłożona broszurami dyskusyjno-polemicznymi, wydanymi niegdyś przez zapobiegliwych Polaków w Wielkiej Brytanii na wieczną rzeczy pamiątkę. Na ścianie tej napis: "Ku chwale Ojczyzny."

M ó l /siedząc w fotelu przy biurku nuci starą, szkocką piosenkę o leśnych dziadkach/.

D r. P i s t o l e t /układając książki na półkach w szafie komenderuje pod nosem/: *W dwuszeregu zbiórka, stać do cholery ciężkiej. . . .*

M ó l /patrząc poczciwie mówi z ojcowską wyrozumiałością/: *Drogi kolego Pistolet, pan kwitnie z radości na dźwięk tych wspomnień, tych komend. I ja pamiętam te niekończące się odprawy, zbiórki . . . te żarciki filozoficzne, oraz cenne pańskie uwagi własne na temat niedopiętego kołnierza. . . .*

P i s t o l e t /z pewnym zażenowaniem/: *Cóż, Wasza Magnificencjo, robiło się, co mogło* /zwracając się do książek/. *Stójcie do jasnej cholery, bo was każę zamknąć* /z trzaskiem zamknął szafę/.

M ó l /jakby do siebie/: *Biedne książki . . . Ale, ale panie kolego Pistolet, co się dzieje ze starym Wiewiórką? Był przecież zaproszony do mnie dzisiaj na piątą, a teraz dochodzi już szósta.*

P i s t o l e t: Melduję starego Wiewiórkę negatywnie.

M ó l: Czy były wiadomości ze szpitala?

P i s t o l e t: Stan młodego Wiewiórki nie budzi już obaw. Pisuje jeszcze wprawdzie napastliwe artykuły, ale już tylko cztery dziennie, tym razem przeciw siostrom szpitalnym i lekarzom.

M ó l: Szkoda chłopaka, szkoda chłopaka /bierze do rąk gazetę/. *Doktorze Pistolet, czytał pan już dzisiejszą gazetę? Dużo nowości. Awanse w Międzynarodowej Policji Lotniczej. Na wniosek podkomisarza Wellsa mianowano staruszka Słonimskiego starszym przodownikiem na Europę. Po tylu latach cierpień Wells mu się nareszcie zrewanżował.*

P i s t o l e t: A co w wojsku, profesorze, co w wojsku?

M ó l: Jest wywiad kapitana Pruszyńskiego z pułkownikiem Z. Nowakowskim.

P i s t o l e t: Jaki temat, jaki temat?

M ó l: Stwierdzają obydwaj, że za dużo inteligencji jest w cywilu, że powinno się pchać inteligencję do wojska. "Co nam z cywilów inteligentnych — piszą — musimy mieć nareszcie w roku 1961 potężną inteligentną armię. Apelujemy do profesorów uniwersytetu o masowe wstępowanie w szeregi."

P i s t o l e t: Nadzwyczajne. O, widzę radioprogram, czy coś ciekawego w tym tygodniu?

M ó l: Piękna audycja dla dzieci: "Informacyjki i dokumentacyjki oraz inne facecje—opowie naszym milusińskim Dziadzio Stasio."

P i s t o l e t: Trzyma się starowina. . . .

M ó l: Odpukać, odpukać /pukanie do drzwi/.

P i s t o l e t: "Entrez," "Povtic," "Come in"—"Wlaz!"

/wchodzi stary Wiewiórka, siwy emeryt w wytartym, cywilnym ubraniu, zdyszany i zmęczony. Zobaczywszy Pistoleta staje wyprężony i uderza obcasami./

W i e w i ó r k a /służbiście/: *Panie poruczniku, starszy emeryt Wiewiórka melduje swoje wejście do pokoju i prosi o pozwolenie zwrócenia się do kaprala Móla w sprawie prywatno-familijnej.*

P i s t o l e t /oparty o szafę przymknął oczy upajając się dźwiękiem słów/: *Melduje . . . prosi . . .* /nagle jakby się obudził—huknął na cały pokój/: *Odlicz!*

W i e w i ó r k a /rzucił głowę automatycznie w lewo, poczem uciął krótko, wprost przed siebie/: *"Raz"!*

M ó l /wstał gwałtownie/: *Panie Zenobi, tyle razy prosiłem nie przy mnie, nie przy mnie.*

/Pistolet milcząc podchodzi do starego Wiewiórki i z przyzwyczajenia zapina mu górny guzik u kamizelki, poczem wzdycha głęboko i odchodzi do swoich książek./

W i e w i ó r k a: Bardzo cię Hipolitku przepraszam za spóźnienie, ale to nie moja wina. U nas, rozumiesz, o piątej jest "cup of tea." Punktualnie, co do minuty od dwudziestu lat, bo tak Betty sobie życzy. Gdy przed rokiem byłem umierający i godziny moje były policzone, "cup of tea" również punktualnie odbyła się u nas o godzinie piątej, a ja podczas herbatki dyktowałem moją ostatnią wolę. Ty tego nie zrozumiesz . . . Ale do rzeczy. . . .

M ó l: Nie potrzebuję cię zapewniać, mój stary, jak mi przykro, że właśnie twój James podjął ataki prasowe na mnie. Przecież to jakby nasz syn, można powiedzieć, bośmy w jednym namiocie, pod jednym kocem. . . .

W i e w i ó r k a /zaniepokojony/: *Jakto nasz syn?*

M ó l: Symbolicznie.

W i e w i ó r k a: Właściwie ani nasz, ani mój—tylko jej, jej syn. Zupełnie go przerobiła na Szkota. Muszą być obydwoje codziennie w kinie, codziennie wieczór muszę z nimi śpiewać: "Loch Lomond," ona mu wysmaża chipsy na bekonie aż w całym domu czuć, ale wyrobiła w nim pedantyczną punktualność i typową szkocką chciwość prawdy, dociekanie przyczyn. Zrozum więc, że ta cała sprawa, to nie jego wina.

M ó l: przebaczyłem mu dawno /całują się/. *Cóż poza tym mój stary?*

W i e w i ó r k a: Przez ten przeklęty reumatyzm od roku jestem na emeryturze. Spójrz, jakie mam pokręcone pedały.

M ó l: "Souvenir from Scotland."

W i e w i ó r k a: Właśnie. Namiotki w październiku.

M ó l: A jak rana?

W i e w i ó r k a: Ta z frontu?

M ó l: Nie, myślę: ta z tyłu głowy.

W i e w i ó r k a: Ah, ta z dancingu szkockiego? No cóż, dwudziesty rok siedzi we mnie szkło z butelki ginu /nagle/: *Aha, i pana porucz . . . pana asystenta, też chciałem za mego syna przeprosić, za ten artykuł . . .*

P i s t o l e t: Taki smarkacz. Rodził się na naszych oczach w Szkocji. Wszystko przez to, że wam tak lekkomyślnie, łatwo dawałem przepustki. Wy, Wiewiórka, byliście specjalistą w braniu przepustek prawych i lewych.

W i e w i ó r k a: Zato teraz siedzę w domu, panie poruczniku. Od mojej Betty nie można tak łatwo dostać przepustki, jak kiedyś od pana.

M ó l: Tak ci źle mój stary?

W i e w i ó r k a /z wybuchem/: *Panowie! Nie będę dłużej ukrywał. Słuchajcie! Ja od dwudziestu lat jem codziennie rano owsiankę. . . .*

M ó l i P i s t o l e t /z przerażeniem/: *"Porridge"!*

W i e w i ó r k a: Leguminy jadam z pieprzem, a kompot z mlekiem. Ta spryciara, Betty, ze Szkocji sprowadza dla mnie te ich okropne puddingi w torebkach. Ludzie! Zabroniła mi jadać wędliny! Czy wy to rozumiecie? Mówi, że salceson, to pewna śmierć. A okno otwarte przez całą noc w trzaskający mróz to nie jest pewna śmierć? A łóżka w lodowatym pokoju? /wyskakując na krzesło/: *Kombatanci! Ja noce spędzam z gorącą butlą w łóżku!*

M ó l i P i s t o l e t /ponuro/: *"Hot water bottle."!*

W i e w i ó r k a /dramatycznie/: *Tak jest. Hot water bottle. Moje kuzynki i ciotki nie kłaniają mi się na ulicy, sąsiadki wyją ze śmiechu, a ona swoje.*

M ó l: Zawsze wyrażałem pogląd, że supremacja Szkotek w związkach mieszanych jest niemal przesądzona. I okazuje się, że są górą. . . .

W i e w i ó r k a /parskając gorzkim śmiechem/: *Górą, górą. Ja nawet nie jestem dołem. Mnie w ogóle nie ma. Stary Dulski jest przy mnie okrutnym tyranem, pantoflarze całego świata są krwawymi Otellami w porównaniu ze mną* /nerwowym szeptem/: *Słuchajcie. Pst . . . Zdradzę wam straszną tajemnicę: wczoraj, ukradkiem u sąsiadki jadłem barszcz—Betty zobaczyła, spróbowała i wylała na łeb sąsiadce, twierdząc, że takowa chciała mnie otruć skwaśniałą, farbowaną zupą.*

M ó l: Skwaśniała. . .

P i s t o l e t: Zupa. . . .

W i e w i ó r k a: To jeszcze nic. Ona w domu rozebrała wszystkie piece aż do fundamentów. Teraz jest tylko kominek. Jeden, jeden malutki, na cały dom.

M ó l i P i s t o l e t /ze zgrozą/: *"Fire-place" . . .*

W i e w i ó r k a: Tak jest. Fireplace. Cztery wagony węgla spalam miesięcznie, jestem zadłużony po uszy. Urząd skarbowy nałożył mi podatek dochodowy, bo wszyscy dokoła są przekonani, że ja mam skład węgla. Lecz nie, panowie, ja mam tylko szkocki fire-place. Oto co . . . /opada zmęczony na fotel, Mól podaje mu szklankę wody/.

P i s t o l e t /łagodnie/: *No, no Wiewiórka, spokojnie, spokojnie . . . Bezwzględnie meldujecie pozytywnie . . . te elementy, naprowadzone powyżej. . . .*

M ó l: Daj pan spokój. . . .

W i e w i ó r k a /szlochając/: *Hipciu.*

M ó l: Co stary?

W i e w i ó r k a: Hipciu. Wszyscy dokoła żrą pierogi, kluski z serem, buchty, knedle, sznycelki i pasztetówki, a ja jeden na owsie hodowany i na puddingu. Za co? Hipciu, za co?

M ó l: Mówiłem ci bracie jeszcze pod namiotem, że Szkotki nie przerobisz. Zresztą nie twoja to wina, żeś się ożenił z Betty Breakfast.

P i s t o l e t: Przecież mam u mnie w teczce "Ad acta" czarno na białym, iż ona także, między innymi, napisała do Królowej Anglii, by jej jak "lassie" szkocka pomogła i przyszedł rozkaz 612/444, że musicie się żenić Wiewiórka. O ile pamiętam mały James wprawdzie nie był jeszcze na świecie, ale można powiedzieć zaistniał już . . . w ośrodku zapasowym.

M ó l: Dawne czasy, szkoda gadać.

W i e w i ó r k a: Tak, tak. Z woli królewskiej ją poślubiłem i pokutuję teraz od dwudziestu lat na szkockim wikcie w moim własnym, rodzinnym mieście /zegar wybija siódmą, Wiewiórka zerwał się gwałtownie/: *O jej, spóźnię się na "tea"!*

M ó l: Nieszczęsny. Znowu masz "tea"!?

W i e w i ó r k a: Cóż chcesz? Ostatnią miałem o piątej. To była "afternoon-tea,"—a teraz mam o siódmej "high-tea." Od tej herbaty już całkiem durnieję, a nerwy mi latają. Nie na tym jednak koniec. Zaraz po herbacie muszę iść na spacer. Żeby deszcz lał, żeby wiatr dachy zrywał: "You must" — ona mówi — "Small walking." Ledwie ruszam pedałami, ale idę, idę. Niewola Hipciu, królewsko - imperialno - dominialna niewola.

/W drzwiach staje Mrs. Betty z Breakfastów-Wiewiórkowa, tęga, zażywna jejmość z koszyczkiem w jednej i małym szkockim terrierem w drugiej ręce. Mól i Pistolet zginają się w ukłonach./

B e t t y: Hallo, boys /do męża/: *Tea-time . . . darling.*

W i e w i ó r k a /uśmiechnięty kwaśno/: *Hallo, sweetheart . . . Yes, duszko. Immediately.*

M ó l /z politowaniem kiwa głową/: *Mówiłem, ostrzegałem. . . .*

P i s t o l e t /przez zaciśnięte zęby/: *Wszystko przez moje przepustki.*

B e t t y: Are you ready my dear?

W i e w i ó r k a /na stronie/: *Ready! Od dwudziestu lat gotów. . . . Ready!* /zmierzają do wyjścia/.

M ó l i P i s t o l e t: Good night, madame. . . .

W i e w i ó r k a /w otwartych drzwiach zatrzymał się, wskazuje palcem na ścianę broszur polemicznych z lat 1940/41, poczem rzuca tragiczne wezwanie/: *Kombatanci, pomyślcie o nowej broszurze p.t.* "Amnestia dla mężów polskich w niewoli szkockiej," *czyli* "księga niedopowiedzianych ponurości" *lub jak wolicie:* "Dwa milimetry od prawdy." *Cheerio.*

/Koniec słuchowiska/

Wiktor Budzyński

* por. nr. 43 "Polski Walczącej."



Marian Smarzewski: OR i OPR

Wyszedł z druku 11-ty /listopadowy/ numer miesięcznika wojskowego "Bellona," wydawanego przez Sztab Naczelnego Wodza. Na treść numeru złożyły się następujące artykuły: płk. dypl. S.S.—Z dziejów obrony Warszawy wrzesień 1939; inż. Stanisław Rymszewicz—Technika walki o wolność mórz; inż. J.B. i inż. J.W.—Przygotowanie przemysłu do wojny; Mieczysław Tasiecki—Kilka uwag o rozkazodawstwie; mjr. H.N.—Użycie radia w polu; przegląd prasy.

SPIS RZECZY.

Koło Opieki Nad Żołnierzem zawiadamia, że Centrala Koła została przeniesiona z Londynu do Edynburga. Adres obecny: 7, Greenhill Gardens, Edinburgh, telefon: 51801—Sekretariat czynny w poniedziałki i piątki w godzinach 3-5 pp.—Datki na "Gwiazdkę" dla żołnierzy przyjmuje się z wdzięcznością—/z zaznaczenien "Na gwiazdkę" Christmas Fund"/ conto 84272 w National Bank of Scotland Limited, Tolcross Branch, Edinburgh.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clemen ts Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.